



**PODCHORĄŻY**

**5**

NASTĘPNY, GWIAZDKOWY NUMER  
„**PODCHORĄŻEGO**”  
ukaze się między 15 a 20-ym grudnia b. r.

Przypominamy, że termin nadsyłania materiałów do tego numeru  
upływa dn. 7-go b.m.

## FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i zawiązać trwałą współpracę z Nimi, postanowiła wprowadzić stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografje te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty wyjścia danego numeru „Podchorążego”.

**Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.**

## PREMJE

Stosownie do zapowiedzi Redakcja „Podchorążego” przyznała następujące premje za zdjęcia zamieszczone w Nr. 4-ym:

- a) w wysokości 4 zł.:
  - 1) Grześ (za zdjęcie „na twarz”),
  - 2) Grześ (za zdjęcie „koń sobie, a jeździec sobie”).
- b) w wysokości 3 zł.:
  - 1) Nuzkowski („marsz jesienny”).
- c) w wysokości 2 zł.:
  - 1) Łomski („przy wodopoju”).

# PODCHORĄŻY

ORGAN SZKÓŁ PODCHORĄŻYCH

Nr. 5 (78)

1 GRUDNIA 1935 R.

ROK V



Podchorążowie

fol. Siemaszko

Smutne i szare dni listopadowe spowite jesienną mgłą budzą w nas echo minionych dni zwycięstwa i chwały. Przychodzi na myśl owa Noc Listopadowa, w której garstka młodzieży patriotycznej rozpałała zarzewie walki z ciemnością—walki, w której mimo wysiłku całego narodu nie było jeszcze danem Białemu Orłowi skruszyć kajdan niewoli. Wspomnienia owej Nocy żyją zawsze w naszej pamięci jako pomnik ofiarności i męstwa tych, którzy nie mogąc znieść hańby niewoli porwali za broń by zwyciężyć lub zginąć.

Dlatego dzisiaj gdy z perspektywy czasu mamy ocenić wysiłek tego pokolenia to tembardziej uczcić musimy poświęcenie jego pełne bezinteresowności i samozaparcia się. Uczcić musimy wybuch powstania jako reakcję przeciwko zniewagom doznany od wroga, jako znak ostrzegawczy, że struny przeciągać nie wolno, że to w wyniku zawsze powoduje przelanie krwi.

Uczcić musimy powstanie jako donośny z głębi duszy wydzierający się protest, że dzieje się głęboka, wielka krzywda, że kłamie ten, kto mówi, że wzniosłe zasady sprawiedliwości panują na świecie, ponieważ tu w środku Europy dzieje się krzywda wielka Narodowi, który posiada długą tradycję dziejową, wydatny dorobek kultury, i który odegrał niepowszednią rolę—w postępie cywilizacji.

Nie będę tu omawiał przebiegu samego powstania, to jedynie ważne słowo może powiedzieć historia—zresztą znamy je dobrze z nauki w szkole — pamiętamy z dziadowych opowiadań „Kordjana”, „Nocy Listopadowej”. Na pamięć prawie znamy Grochów, Wawer, Wielkie Dęby, Iganie, Ostrołękę i Stoczek — Redutę Orzona i tragiczną postać dyktatora Chłopickiego, Skrzyneckiego i Prądyńskiego — czcimy pamięć Sowińskiego i Bema — znamy wszystkie błędy Rady Administracyjnej i Rządu. A myśląc o tem niejednym dziś stawia pytanie — poco tyle ofiar i poświęcenia, jeśli przez ludzkie małości i brak wodzów wszystko idzie na marne. Przecież często nawet światli ludzie roztrząsając dzieje powstania listopadowego mówią, że „owoc niedojrzały”, to poryw szaleńców, to nierozważny krok nad którym się nikt nie zastanawiał i skutków jego nie przewidział.

Czy nam podchorążym wolno pod takim kątem widzenia określać powstanie? Nie! Powstanie bowiem listopadowe bez względu na udolność jego przeprowadzenia, bez względu

na to jakie były błędy Rządu i Naczelnego Dowództwa było jednak jednym bohaterskim porywem, było nakazem ducha polskiego a wystąpienie przeciwko jarzmu obcemu jest dla nas najdroższą pamiątką narodową — jest pomnikiem ofiarności i męstwa.

Myśl zasiana przez Piotra Wysockiego na niwie młodych serc Podchorążych wyrosła, dojrzała szybko i wybuchła dnia 29 listopada. Płomień, który zabłysnął w ową Noc na długo rozświetlił mrok niewoli. Jak ongiś przed wiekami w starożytnej Grecji dwustu Spartanów zatrzymało pod Termopilami potęgę Perską, tak w 1830 roku kilkudziesięciu bohaterów porwało za broń — i rzuciło się na najpotężniejszego mocarza Europy—poruszyło cały naród polski i tchnęło weń taką siłę, że starczyła do walki z ciemnością na długie miesiące.

Stu kilkudziesięciu bohaterów poszło w bój idąc za głosem Narodu, dumy narodowej — poszło przeciwko pułkom rosyjskim z tem przeświadczeniem, że wszczynając bój za świętą sprawę polską porwą cały naród. Nazwano ich szaleńcami — ale historia złotymi głoskami wypisała ich nazwiska i przekazała potomności do naśladowania. Podchorążowie wywiązali się z obowiązku — oddali Ojczyźnie to co mogli. Własną krew i życie złożyli na jej ołtarzu. Poszli w bój i legli... Bo snadź chciało tak przeznaczenie...

Aby ich zrozumieć trzeba kochać ojczyznę tak jak Oni kochali. Tak myśleć i czuć jak Oni, którzy rozpoczęli swój niepowstrzymany szalony lot ku szczytom na rozpostartych skrzydłach marzeń unosząc swój ból i tęsknotę, zaczęli swój niezgony pęd błyskawicą stali bagnetów, kreśląc dla swych następców owo cudowne słowo apostołskiej wiary, że nie zginęła i nigdy nie zginie — wiary, która przetrwała Sybir i katorgi i sprawiła, że dziś jesteśmy wolni i śmiało światu możemy rzec „Polska to wielka rzecz“.

Dziś w dniu 29 listopada stoją przed wami cienie duchów naszych braci — poprzedników z 1830 roku — dziś nasza duchowa łączność z podchorążymi listopadowymi szczególnie się odzywa — zdają się do nas mówić: „Pamiętajcie, że nie masz ofiar zbyt wielkich dla Ojczyzny a najpiękniejsza za nią śmierć“.

Pozdrawiamy Was Bracia nasi i ślubujemy godnie zastąpić. Bądźcie spokojni, cenimy Wasze bohaterstwo i krew — śnijcie w spo-



koją, szable nasze nie rdzewieją, chociażbyśmy nawet długo na rękojeści pługów dłonie dzierżyli — gdy nadejdzie czas staniemy jak Wy!

Podchorążowie Listopadowi odbieramy od Was zaszczytną wartość. Za cenę Waszej krwi przelanej i bohaterstwa szarych tysięcy, otrzymany skarb

najcenniejszy my żołnierze-podchorążowie w pierwszym rządzie strzec będziemy, mając sobie tę służbę za pierwszą powinność i powołanie najszczytniejsze.

pchor. Z. Czech.

Toruń S. P. Art.

## MŁODA ARMJA PODCHORAŻACKA

Nasze etapy życiowe w telegraficznym skrócie: *Lawa szkolna.* Zdobywanie pewnego zasobu wiedzy. Nauka i ustawiczne wkuwanie zadanych prac. Wreszcie tak często powtarzane słowa o miłości ojczyzny.

*Lawa uniwersytecka.* Wiedza czerpana z wykładów i wielu źródeł bibliotecznych. Formowanie własnego światopoglądu. Samodzielne badanie i poznawanie dróg życia.

*Na posterunku wojakowym.* Nigdy wielka i potężna idea państwa nie była tak bliska naszym myślom i uczuciom jak wówczas, gdy pierwszy raz maszerowaliśmy w defiladzie, pierwszy raz pozdrowił nas dowódca, po raz pierwszy przeżyliśmy się przed chorągwią pułkowa.

Zaprawiamy się w doskonałym władaniu bronią, przechodzimy trudy ćwiczeń, wpajają w nas zasady dowodzenia. Przechodzimy liczne próby hartu ducha, sprawności i posłuszeństwa, by podczas manewrów sierpniowych zdać egzamin na celująco.

Przed niedawnym czasem ukazała się w przedkładzie książka Papiniego „Skończony człowiek”. Są to wyznania dwudziestoletniego młodzieńca, który zdaje sobie sprawę, że człowiek nie może zwalczyć swego cienia, że musi być sobą i tylko sobą.

Ten sam młodzieniec krocząc ku szczytom zwycięstwa wykazuje, iż można usunąć własne chęłactwo, by zatriumfować nad brutalizmem i surowością.

Dzisiaj, w dniu święta podchorążego, kiedy słubować będziemy przed Majestatem Rzplitej bezwzględna wierność, uczynimy przyrzeczenie, iż z jeszcze większą drobiazgowością pracować będziemy nad usunięciem własnych niedomagań.

W dniu 29 listopada zwracają się ku nam z ufnością oczy całego społeczeństwa. Jakaż będzie nasza odpowiedź, nasz odzew? Młoda armja podchorążacka, która jak to pięknie określił p. płk. Rudnicki — stanowi *najaktywniejszy element w wojsku* trwać będzie niezłomnie na posterunku ojczystym.

„Pro patria consumor“ — „wyniszczam się w ofierze dla Ojczyzny“, posiadamy głęboko wryte w naszych sercach.

A kiedy po radosnym święcie wznowimy

przerwane ćwiczenia, szare dni grudniowe nabiorą dla nas życia i barw niezwykłych. Każdy bór, każde pole, każdy kamień, w milczeniu nas pozdrowią, gdyż idzie młoda, zaprzysiężona armja obrońców mocarnego Państwa.

Bydgoszcz

Strz. z cenz. B. Nuszkowski.



Alegoria 29 listopada według współczesnego sztuchu.

# SZLAKIEM LISTOPADOWYCH WRAŻEŃ

**K**iedyś w roku 1918, dnia 29 listopada wziął jako mieszkanie Belweder, nakazałem by Szkoła Podchorążych zaciągnęła tam warty”.

Przesunął się po palcach czasu różaniec lat...  
...Listopad — 1930 rok...

...„Warszawa—Wileńska!... Wysiadamy; dwuszeręg tworzy się sprawnie, czekamy na chorągiew.

W tym czasie patrzymy na tłumy podróżnych, oglądających nas w najwyższym zdumieniu. Słychać głos „Co to? Cyrk może przyjechał?...” Jakiś starszy pan, starannie wygolony, pyta: „Czy to reklama filmowa?” — Uczucie bardzo przykre. Rodacy nie pamiętają... tłum jest tłumem...

Mimowoli powstaje w sercu życzenie — „oby choć jedno serce żywiej zabiło na nasz widok, na wspomnienie bohaterów nocy listopadowej...” — Ostra komenda przerywa marzenie; „W ramię broń!” — „W czwórki w prawo zwrot.” Idziemy. — Miasto — ulice jasno oświetlone, gwar, tłum ludzi dokoła nas...

Wtem słyszę głos dziecinny poza sobą: „Czy oni udają?” Drugi głos dziecka odpowiada: „Nie, to na pamiątkę powstania listopadowego... oni ubraли jak przed stu laty!”

Odwracam głowę — dwoje dzieci, obdartych, bosych”...

Jeszcze fragment wrażeń.

...Stoję przy chorągwi, na posterunku honorowym. Pół godziny na baczność. Nie wolno dignąć, okiem mrugnąć. Patrzą prosto przed siebie na mokry asfalt ulicy. — Wtem widzę dwie młode panny, oparte o balustradę. Patrzą na mnie figlarnie, strojąc pocieszne miny, mówiąc: „Pan musi się uśmiechnąć”. — Patrzą zimno, zaciskając jednak zęby, by nie parsknąć śmiechem, tyle komizmu jest w tych grymasach...

Lecz równocześnie robi mi się smutno: — Czyż nikt nie potrafi docenić powagi chwili? To przecież nie ja stoję na posterunku, — to symbol Tych, którzy życie oddali za wolność, sto lat temu...”

Przewróciła się znów karta. Jest rok 1931. — „...W takt „Brygady” wchodzimy na dziedziniec. Całe ogrodzenie oblepione zaciekawionymi... Pluton ustawia się pod tarasem Belwederu.

...Padają komendy. Wznoszą się i opadają rytmiczne trąbki fanfaryzistów, chwieją się proporce, w słonecznym świetle lśnią srebrem szyte inic-

jały szkoły — S.P.P. Poczёт chorągwiانى ustawił przed wartownią naszą szkolną chorągiew.

— „Pierwsza zmiana odmaszerować...” Rozprowadzający rozprowadza wartowników...”

Znów inna karta...

...„Spodziewamy się Pana Marszałka. I rzeczywiście około 17-tej wypryska z wartowni cały pluton na przeciągle: „Warta pod brooń!”...

W lekkim półmroku zjawiała się sylwetka znana — Wodza. — Skamieniały postawy... tylko coraz żywiej tomaty serca: дума rozpieła piersi, że On tuż, tuż, że na żołnierzyków swych patrzy zbliska...

Pan Marszałek zbliżył się do szeregu. Kazał dać „spocznij”. I w ten swój serdeczny, żołnierski sposób rozpoczął gawędę...

— Czy wam nie zimno, chłopcy? Czy nie cisną was pasy, kołnierze?

— Nie, Panie Marszałku!

Dotykał umundurowania, pytał, gawędził... A pod granatem mundurów biły coraz mocniej serca — z pod czak błyskiem oddania i iskrami uczuć najwyższych lśniły oczy...

Dla Pierwszego Marszałka.

Do ukochanego Wodza!

Poszedł i znikł powoli w mroku listopadowego wieczoru, a gonili Go spojrzenia tych, co w ziszczeniu swych marzeń stali na honorowej straży...”

...To kiedyś — a dziś?... Dziś znów przed Belwederem historyczna stanie warta. — Jeno nastrój będzie inny — kościelny niemal...

A w Komorowie... — Półmrok listopadowego wieczoru przygniata swym ciężarem świat. Resztki zbronzowiałych liści spływają z drzew, zobojętniałe kładą się grubym całunem na ogłuchły beton chodników. — Jest cicho... Szaro-bronzone gmachy błyskają światłkami...

Alejami kamiennej przeszłości snuje się zadumany Duch Wielkiego Samotnika...

...„nieraz pytam siebie znowu, co zacz są nasi podchorążowie, ten nowy gatunek ludzi, którzy wkładają mundur żołnierski by się stać w naszej armji oficerami”...

S.P.P. Komorowo

Zebrał pchor. Koterba.

# DWA LISTOPADY

**G**łuchą nocą wiatr się błąka mgliście, zeszył szeptem wiatr trąca zmarłe liście.

Ciemne chwile jak gwiazdy zgaszone

plyną wolno w tajemnicę ciszy

— rozchył myślą przeznaczeń zasłonę...

Wiatr nad wodą gałęzie kołysze.

Nagle — kroków przyspieszone tętno —

ktos się zbliża — człowiek, cień, czy widmo?

Śpiewaj wietrze, swą melodję smętną...

Znowu kroki... Jacys ludzie idą...

Przez królewskie, dostojne ogrody

duch przeleciał potężny i młody.

Tu się zbiorą, gdzie się z mgły wychyla

pomnik króla, mocarza z przed wieków.

Prędzej! prędzej! droga każda chwila,

może wreszcie dzwigną trumny wieka.

Głuchą nocą pod Belweder dąży

z burzą w piersiach oddział podchorążych.

Buchnął płomień tłumiony w narodzie

powstań Polsko do wielkiego dzieła!

Śpiew popłynął — płyną krwi powodzie —

skrusz kajdany! Jeszcze nie zginęła!

Głuchą nocą wiatr się błąka mgliście,

zeszył szeptem trąca zmarłe liście.

Jęk tragiczny o serca potrąca,

jak dym z gruzów z piersi się wywleka,

— nigdy? nigdy nie wzlecim do słońca?

Wodza zbrakło — nie było człowieka.

Ciemne lata jak gwiazdy zgaszone

plyną wolno w niezbadane mroki.

O, nadziejo! już wszystko stracone!

więc kłamali wieszczowie-proroki?

W zodiacowym zegarze na niebie  
piach się gwiazdny przesypał spokojnie —  
nagle w ciszę po sławy pogrzebie  
wieść jak piorun gruchnęła o wojnie.

Europę okopy porwały,  
oplątały świat kolczaste druty,  
poszarpały się nerwy i żyły,  
piersi zmiażdżył czołg stalą okuty.  
Ludzkie serca ściśnięte rozpaczą  
poczerniały jak ręczne granaty —  
gdzieś daleko oczy matki płaczą,  
gdzieś daleko huczą armaty.

W jasny ranek skrzydlatym podlotem  
wiatr unosi senne liście złote.

Na ulice wyległa Warszawa —  
tam, z oddali śpiew ptakiem dolata,  
tam, z oddali jak grzmot huczy wrzawa —  
Bóg dał wolność — za mękę zapłatę.

Oto idą — szeregi, szeregi —  
bohaterska strzelecka gromada —  
już ulica wezbrała po brzegi —  
na stos, na stos kwiat na bruk upada.  
Szare wojsko o serce, co było  
młotem woli wśród jęku niemocy —  
niesiem jemu wielbienie i miłość  
za to słońce, co błysnęło wśród nocy.

Na ulice wyległa Warszawa —  
rozspiewaną lud falą się tłoczy —  
tam w chorągwiach kołysze się sława —  
szare wojsko — maciejówka siwa —  
w piersiach serce ze szczęścia zamiera,  
aż się z gardła krzyk w niebo wyrywa —  
Bóg dał wodza — Bóg dał bohatera.

Dęblin D.K.P.P.

strzelec z cen. Z.J.K.



# LIST PODCHORAŻEGO

DZIADUNIU!

Już dawno nie widziałem Cię. Czas mgły przestronił Twe rysy... rysy z których... kiedyś... Pamiętasz... czytałem co znaczy cierpienie, walka i poświęcenie... żołnierze bez Ojczyzny! Widzę Cię Dziaduniu z oddali, widzę Twojego munduru granat i błyszczące 1863...

Brzemienny był to rok — brzemienny krwią i łzami ludu polskiego, jego męką serdeczny, którą ludzie małej wiary próżną mniemali a bezużyteczną...

I Twoja wówczas Dziaduniu krew obficie się polatała, a stopy Twe krwawy ślad znaczyły na śnieżnych bezkresach Syberji!

Nietylko Twe lecz i tysiące innych... nieznanym...

I tak trwało odrętwienie ludzi małej wiary, aż przyszedł Mąż co zatargał jaźnią narodu i niewolnych jasnym szlakiem wolności powiodł do zwycięstwa...

Lecz Ty zmożon wiekiem, katogą sybirską nie mogłeś iść kędy się rwało serce... Poszły syny Twoje, poszła garstka szaleńców w przeszłość zapatrzona przyszłość krwawo wykuwać.

Wybiła godzina Wolności... Pamiętasz Dziaduniu ów listopadowy jesienny dzień, kiedy z oczu Twych trzy radości toczyły się po Twej brózdami zoranej twarzy. Dożyłeś Wolnej Polski, krew w r. 1863 wylana plon stokrotnie wydała, a Ty i Twoich garstka żywe pomniki poświęcenia, cierpienia i bohaterstwa w pokoju przeżywacie promienny zachód dni swoich.

## PRZED NOCĄ LISTOPADOWĄ

Struktura i stosunki w armii polskiej w Królestwie Kongresowym, odbiegają daleko od naszych stosunków obecnych. Zadania wojska ówczesnego i dzisiejszego różnią się także radykalnie.

Oryginalne, a nawet anormalne stosunki jakie wtenczas były w wojsku po części wynikają z odmienności zadań jakie w wojsku były stawiane, a przeważnie wynikają z anormalnych stosunków politycznych i specyficznej atmosfery jaka wówczas panowała.

Anormalne stosunki polityczne to sam fakt istnienia Królestwa Kongresowego, które było tworem sztucznym i do życia niezdolnym, — specyficzna atmosfera to wpływ W. ks. Konstantego na bieg spraw w Królestwie, a zwłaszcza w wojsku.

Wojsko Polskie w Królestwie Kongresowym liczyło 36.000 ludzi, znaczna część żołnierzy, prawie cały korpus podoficerski i oficerski byli to starzy żołnierze napoleońscy.

Daleko odbiegło jednak to wojsko od dawnych świetnych tradycji napoleońskich, wielki wpływ na stosunki

Pamiętasz Dziaduniu te długie zimowe wieczory, które spędziłem u Ciebie zastuchany w baśń z dawnych dni. Oko Twe — przygasłe — gorzało wówczas płomieniem miłości Ojczyzny...

Słuchałem i dreszcz zapału mnie przenikał i był bodźcem w pracy, którą szumnie zwałem pracą dla Tej — wiesz — „co nie zginęła i nie zginie”...

I dziś choć z oddali czasu pamiętam Dziaduniu te chwile i do nich się zwracam by Twój żywy niepisany Testament wiernie wypełniać.

Gdy myślą do Ciebie Dziaduniu ulatam, rok 1830 z 63 dziwnie wiąże...

Jak Wy w noc mroźną, styczniową, rozpaczy potężnym krzykiem protestu byliście przeciwko zaborcy, tak i ta garstka młodych „zapaleńców” do zbrojnego się czynu porwała.

I Oni jak Wy nie mieli początkowo za sobą narodu szli z rozpaczą głuchą w sercu przez opustoszałe zda się ulice Warszawy... Bo starsi przewodzić im się wzbraniłi i gromić jęli za czyn zgoła szalony...

Dziaduniu zbliża się rocznica owego listopadowego czynu Podchorążych... Ze szkoły wiernej dziedziczki piastunki ideji, którą nam podchorążym Niepodległej Polski przekazała świetlana pamięć Wysockiego i młodych zapaleńców z nocą listopadową śle Ci Dziaduniu pozdrowienia od siebie i kolegów śle zapewnienia że dla Polski wytrwamy my żołnierze wolnej ojczyzny — my Jej rycerze.

Komorowo 11-XI-35 rok.

Pchor. Z. PLUTA.

w wojsku wywarł stały kontakt z wojskiem rosyjskim i metody Wodza Naczelnego Wielkiego Księcia Konstantego.

Wojsko odbywało wieczne parady i defilady, mało przebywało w polu, wielka defilada wojsk, która odbyła się w Brześciu przed Cesarzem Aleksandrem wykazała doskonałe wymusztrowanie oddziałów, ale bardzo małą zdolność bojową.

Umundurowanie wojska ówczesnego, które tak bardzo nam się dzisiaj podoba przez swą barwność, było źródłem udręki dla żołnierza.

N. p. strzelcy piesi, którzy byli lekką piechotą przeznaczoną do dalekich i szybkich marszów, byli b. obciążeni swym rynsztunkiem. Karabin z bagnetem ważył około 15 funtów, tornister z pałaszem i menażką mniej więcej 30, pasy z ładownicą, płaszczem i „bagnetszajdą” — 8, kaszkiet z kordonami i łuskami — 10, chleb — 3, razem 66 funtów, nie dziwnego, że żołnierz upadał często w marszu pod ciężarem rynsztunku.

Dziwi nas, dlaczego ten zachwycający nas dzisiaj swym

oryginalnym kształtem kaszkiet piechoty ważył aż 10 funtów (około 4 kg.) — otóż żołnierz nie mógł mieć w swym obcisłym mundurze żadnej kieszeni, ani w płaszczu, ani w spodniach lub kurtce, tak, że wszelkie drobiazgi nosił na grzbiecie — w tornistrze, lub na głowie — w kaszkiecie.

Kaszkiet był ozdobiony w kompaniach karabinjerskich kitą na 23 cale wysoką, wewnątrz zaś był cały magazyn: chleb, kielbasa, chustka do nosa, tytoń, fajka, karty, pieniądze i t. p.

Rzecz oczywista, że żołnierz ubrany w bardzo obcisły mundur, przystrojony w „krawatę” jak w chomonto i w wysoki a ciężki kaszkiet, nie mógł się schylić ani zgiąć, mógł wykonywać tylko sztywne paradowe ruchy, w polu całe to ubranie było nader niewygodne.

Oryginalnie także była postawiona sprawa zaopatrzenia wojska. Przy sztabie każdego pułku była t. zw. „komora pułkowa”, czyli magazyn broni, mundurów, butów, bielizny, warsztaty rusznikarskie i t. p. Komora była prywatnym przedsiębiorstwem pułkownika, który zwykle, a zwłaszcza w pułkach kawalerji, robił na tem świetne interesy.

Osobny rozdział przy omówieniu wojska Królestwa należy się karom stosowanym przez oficerów i podoficerów w stosunku do żołnierzy.

Stała styczność z wojskiem rosyjskim najdobitniej na tym odcinku się uwidoczniła. Oficerowie za przykładem W. ks. Konstantego bili żołnierzy za łada przewinienie, znęcali się osobiście nad nimi.

Pokaleczenie żołnierza przez oficera szpadą, bicie bagnetem do krwi, było na porządku dziennym.

Młodzi żołnierze łatwiej to znosili, o wiele ciężiej było starym wiarusom napoleońskim. Starszy sierżant, którym często był młodzieniec dwudziestokilkolletni miał opiekę i dozór nad kompanją złożoną ze 170 żołnierzy i 12 podoficerów, z obowiązkami jego było połączone prawo do nieograniczonego płażowania żołnierzy, z którego zazwyczaj korzystał.

Stosunki te raziły oczywiście światlejszych dowódców, ale niezawzięci mogli im przeciwdziałać, bo gdy naprzykład inspektor



29 listopada 1830. Potyczka na moście w Łazienkach



Fragment bitwy z 1831 r. według sztychu francuskiego

piechoty gen. Krasieński zabronił chłostania żołnierzy i rozpoczął w wojsku naukę pisania i czytania, został przez W. Ks. Konstantego w krótkim czasie usunięty z wojska.

Ogromny wpływ, w znaczeniu ujemnym, na wojsko wywierał W. Ks. Konstanty.

Żadna prawie parada na pl. Saskim, które W. Ks. tak często urządził, nie kończyła się spokojnie, albo zwymyślał najwyższych nawet oficerów wobec żołnierzy, albo obić kilku żołnierzy, albo też siadał wścikły do karety, jechał do Belwederu, a wojsko stało i stało na placu, aż wreszcie gdzieś wieczorem przychodził rozkaz odmarszu do koszar. Jeżeli W. Ks. był w dobrym humorze to wyrażał go też w sposób trochę nienormalny, — raz bataljon pplk. Szembeka wzorowo wymusztrowany wprawił go w taki zachwyt swym marszem, że skoczywszy do Szembeka, zerwał mu but z lewej nogi powtarzając radośnie „Tęgo Szembek, tęgo”.

Piotr Wysocki

Historijka ta pokutowała potem wiele lat w wojsku, gdyż Szembek [nie miał wtenczas niestety na nodze... skarpetki \*).

Gdy żołnierze wydostali się z wiru parad i defilad w pole, wtenczas oddychali pełną piersią, życie stawało się znośniejsze, ludność, a zwłaszcza drobna szlachta była prosto rozrzucona widokiem polskiego żołnierza z wielkim blaszanym — srebrnym orłem na czapie.

W marszach żołnierze byli przyjmowani niesłychanie gościnnie, każdy nocleg w jakimś dworze, czy zaścianku oznaczał całonocną zabawę, połączoną z wielkim pijaństwem, jeden z ówczesnych żołnierzy wspomina czule te chwile w swym pamiętniku „a kiedy natrętny dobosz pod oknem na zbór uderzył, wtedy całąj i ścisłaj prędko a silnie narodowego brata lub siostrę, wylewaj sobie kubek zimnej wody na głowę i ruszaj w drogę”.

\*) J. Patelski. Wspomnienia wojskowe z lat 1823 — 1831.

Ochotnik, który dosłużył się rangi sierżanta i dobrze się sprawował mógł dostać się do szkoły podchorążych piechoty w Warszawie.

Szkoła podchorążych piechoty powstała w lipcu 1815 roku, celem jej było przygotowanie młodych wojskowych na stopnie oficerskie.

Szkoła mieściła się w Łazienkach, w długim gmachu służącym niegdyś za mieszkanie dworzan króla Stanisława Poniatowskiego, położonym między koszarami jazdy rosyjskiej a pałacem Łazienkowskim.

Podchorążych było początkowo 360, potem zmniejszono tę liczbę do 220, zasada była taka, że każdy pułk piechoty miał na nauce około 16 sierżantów, oprócz tego w szkole było 50 juników pułków pieszych gwardji rosyjskiej.

Administracja szkoły oparta na samorządzie, była wzorowa, umundurowanie i jedzenie było bardzo dobre, oszczędności szkoły w dniu wybuchu powstania wynosiły 30.006 zł. lecz ku wielkiemu zmartwieniu podchorążych ulotniły się wraz z komendantem Ołędzkim do obozu W. Ks.

Podchorążowie mieszkali t. zw. „brygadami” po 32 w jednej sali, junicy mieszkali osobno.

Nauki w szkole nastawione były przedewszystkiem na służbę frontową, wszelkie nauki teoretyczne, potrzebne wyższym wojskowym były niesłychanie zaniedbane, pod koniec szkoły uczono dopiero nieco topografji, matematyki wyższej i strategji.

Głównym zajęciem podchorążych były ćwiczenia z bronią, fechtunek, pływanie, obroty plutonem..., kompanją... pułkiem...

Musztra i musztra, oto główne zajęcia podchorążych, jej przedewszystkiem musieli się nauczyć, i uczyli się w ciągu długich lat. Tem w czem musieli dojść do perfekcji było wyrzucanie nóg pod kątem rozwartym podczas defilady przed utytułowanymi osobistościami.

Egzaminy były składane po dwuletniej nauce przed W. Ks. Konstantym i komendantem szkoły, którym początkowo był ppłk. Ołędzki, a przed samem powstaniem gen. Trębicki, zabity potem w nocy 29 listopada.

Wielką tragedją podchorążych było to, że w szkole była ich wielka ilość, a pułki były zapchane oficerami tak, że dopiero po śmierci któregoś z oficerów następował awans i jeden z podchorążych mógł zostać podporucznikiem.

To też mimo, że podchorążowie uczyli się pilnie, to nawet przy najlepszych postępach, jeżeli który po 5 latach służby został oficerem, było to zaliczane do osobliwości.

Łatwo sobie wyobrazić nastroje młodych ludzi, skrepowanych niesłychanie surową dyscypliną, brakiem jakichkolwiek dłuższych urlopów, ograniczeniem w wychodzeniu na miasto, wczesnym apelem. Zmuszonych co dwa lata zaczynać odnowa uczyć się tego, co już umieli, tych samych beznadziejnych obrotów, chwytów, okrzyków, nie mając prawie nadziei, aby ze szkoły się szybko wydostać.

Przykładem nastroju niech będzie obliczenie dokonane przez jednego z podchorążych podczas napadu



Po zdobyciu Warszawy w 1831 r.

wisielczego humoru, który biorąc pod uwagę iż oficerowie polscy cieszą się krzepkim zdrowiem i umierają w późnym wieku, obliczył, że podchorąży, aby zostać generałem wojska polskiego winien żyć 288 lat 9 miesięcy 22 dni i 7 godzin.

Ten nastrój beznadziejności i buntu przeciw temu stworzył z podchorążych środowisko niezmiernie podatne na agitację rewolucyjną.

A agitacja ta już dosyć dawno w kraju była prowadzona.

Ogniskiem agitacji antyrosyjskiej byli studenci. W ten czas, gdy cały kraj pławił się w blasku cesarskiego słońca, gdy „króla polskiego” Aleksandra przyjeżdżającego w maju 1825 roku na otwarcie sejmiku i senatu, uczczono wspaniałymi przyjęciami, balem wydanym przez sejm na 2000 osób, podczas którego chór śpiewał:

„Witaj królu polskiej ziemi,  
Ojczy, między dziećmi Twemi!”

to już akademicy koty darli z władzami bezpieczeństwa królestwa.

Napięte stosunki między studentami a rządem, znalazły swój jaskrawy wyraz podczas obchodu żałobnego po śmierci cesarza Aleksandra, który odbył się w kwietniu 1826 roku, studenci przyszlizli na tę ceremonję w starych, połatanych i obszarpanych ubraniach, obszytych zbrudzonymi tasiemkami i z oznakami żałoby na ramionach, więcej do ścierek niż do krepki podobnemi.

Od roku 1828 żywiły rewolucyjne rozpoczęły gwałtowną agitację w wojsku. W szkole podchorążych spisek rewolucyjny organizował Aleksander Łaski, który już podczas obchodów koronacyjnych ces. Mikołaja I, na króla polskiego, w maju 1829 roku chciał dać całym plutonem ognia do rodziny cesarskiej.

W roku 1830 atmosfera stawała się coraz nieznosięniejsza, w czerwcu odbyła się ostatnia defilada szkoły podchorążych przed cesarzem, W. Ks. Konstantym i marszałkiem Dybiczem, w kilka miesięcy potem Dybicz w innej roli oglądał podchorążych.

Szkołę zaczęto podejrzewać, skrepowano podchorążych dodatkowymi obostrzeniami regulaminu. np. podczas nocy był urządzany dwu, lub trzykrotny apel i sprawdzanie czy wszyscy są obecni. W. Ks. zmienił komendanta, zamiasł Ołędzkiego mianował gen. Trębickiego.

Gdy tylko podchorążowie pokazali się na mieście zaraz dostawali się w wir agitacji rewolucyjnej, wskazywano im, jako na przykład godny naśladowania, rolę jaką szkoła politechniczna w Paryżu odegrała podczas rewolucji lipcowej.

Aresztowanie podchorążego Ganca i kilku akademików podniosło jeszcze temperaturę, sprzysiężenie się rozrosło. Mimo wielkiej ostrożności, znalazł się jednak podchorąży, który zaczął spiskowców „sypać”.

Podchorąży Zagrodziński, odwiedzając jednego ze swych kolegów pchor. Suddnika w koszarach 5p. strz. piesz., widział jak robiono ostre naboje, jak prowadzo-

no narady z akademikami i doniósł o tem gen. Kurucie, adjutantowi W. Ks. Aresztowano 3 podchorążych, podniecenie rosło, chodzili pogłoski, że szkoła podchorążych będzie rozwiązana, po Warszawie powtarzano powiedzenie cesarza Aleksandra: „Polacy pójdziecie żywcem do raju, jeżeli wytrzymacie pod rządami brata Konstantego”. Polacy W. Ks. Konstantego mieli już zupełnie dosyć.



Sypanie wałów dokoła Warszawy w 1831 r. (Szytych niemiecki)

Spisek w Szkole Podchorążych ustalił termin powstania i w niedzielę 28 listopada zostali o nim zawiadomieni wszyscy podchorążowie.

29 listopada o zmierzchu spiskowcy rozdali podchorążym amunicję, zbieraną przez długi czas, przez okres kilkuletni na każdych ćwiczeniach z ostrem strzelaniem kiedy to oszczędzano każdy nabój, każdą odrobinę prochu — i tak

lub zwyciężyć nam trzeba. Idźmy! — a piersi nasze będą Termopilami dla wrogów!”

Rozbrojono juników, zorganizowano się w kompanje i około 220 podchorążych wraz z kilkunastoma studentami ruszyło pod wodzą Wysockiego na sąsiednie koszary trzech pułków jazdy.

Powstanie zaczęło się.

## ARTYLERJA W POWSTANIU LISTOPADOWYM

Trudną rocznicą jest rocznica powstania listopadowego. Trudną przez to, że czując ją chcielibyśmy wszystko to, co było najjaśniejsze i najpiękniejsze w walkach 1830 — 31 wydobyć, podawać za przykład, naśladować — a tymczasem, jakże często jest to niemożliwe. Jakże często miast entuzjazmu, woli zwycięstwa, poświęcenia i geniuszu — dostrzegamy w ludziach i wypadkach tragicznego roku 1831-go zwątpienie, bezwolę, rezygnację i zwykłą, przeciętną niefachowość.

Brak było wodzów do czynów samodzielnych i na szerszą miarę zakrojonych, brak było taktyków, co potrafiliby nietylko, jak Prądzyński, plany wielkie rozwijać, ale i mających siłę i wolę ich realizowania. Brak było wreszcie poprostu dobrych fachowców, żołnierzy, co umieliby możliwości swoje umiejętnie wyzyskać. I ten oto brak fachowców, wojennych taktyków w najwyższym może stopniu dał się we znaki przy operowaniu w wojnie artylerją powstaniec.

Stała ona stosunkowo, jak na ówczesne czasy, na wysokim poziomie, posiadała doskonałych oficerów, sprawną obsługę, naogół dużo amunicji — mogła więc odegrać wielką, a może decydującą rolę w całej wojnie. Tymczasem, dzięki nieumiejętności operowania nią przez naczelne dowództwo, dzięki brakowi jednności i konsekwencji w dowodzeniu, nie została należycie użyta i tej roli, do której była predystynowana nie odegrała.

Niemniej artylerja oddała ogromne usługi armji polskiej kilkakrotnie w bitwach przechylając szalę zwycięstwa na jej stronę. Efekty jej nie zostały prawie nigdy wyzyskane przez naczelne dowództwo — najczęściej zresztą najpiękniejsze jej dzieła na polach walk były samodzielną akcją ba-

wypadło zaledwie po 6 — 8 naboju na każdego, podchor. Tyłskiemu polecono podpalić młyn na Solcu.

Podchorążowie trwali kilka godzin w niesłychanym napięciu, cisza pełna oczekiwania zaległa sale wykładowe.

O godz. 7 podczas wykładu taktyki rozległy się krzyki rozbrajanej warty i wdarł się na salę ppor. Wysocki ze szpadą w ręku — „Polacy! godzina zemsty wybiła, dzisiaj umrzeć

lub zwyciężyć nam trzeba. Idźmy! — a piersi nasze będą Termopilami dla wrogów!”

Rozbrojono juników, zorganizowano się w kompanje i około 220 podchorążych wraz z kilkunastoma studentami ruszyło pod wodzą Wysockiego na sąsiednie koszary trzech pułków jazdy.

Powstanie zaczęło się.

teryjnych lub dywizyjnych dowódców a nie (jak powinno być) narzędziem w żelaznych planach sztabu generalnego.

Jeżeli chodzi o siłę artylerji, w całości sił zbrojnych Królestwa Kongresowego, to stan ten przedstawiał się następująco.

Wojsko Królestwa Kongresowego pod faktycznym kierownictwem W. Ks. Konstantego, a formalnem generała Hauke składało się z 30 bataljonów, 36 szwadronów, 6 1/2 kompanji i 3 1/2 baterji artylerji z 96 działami. Dawało to w sumie 36 generałów, 153 oficerów wyższych, 1490 oficerów niższych, 3264 podoficerów i 42000 szeregowych. Organizacja była wzorowana na rosyjskiej. Stan liczebny artylerji powiększył niebawem Chłopicki po objęciu władzy, każąc organizować 5 nowych kompanji z 40 działami. Materiał uzyskał z przetapiania dzwonów kościelnych.

Uzyskano w ten sposób 20 dział połowych i 80 walowych.

W krótki czas po wybuchu powstania, bo już w lutym 1831 r. armja nasza liczyła 47 bataljonów, 97 szwadronów i 15 baterji — co dawało liczbę 37000 piechoty i 15,000 kawalerji i 140 dział. Artylerja rozlokowana była w 6 kompanjach pozycyjnych, 5 lekkich pieszych i 5 baterjach konnych. Ten stan dawał przeciętnie około 2 1/2 dział na 1000 ludzi, co było liczbą niezbyt wysoką. Powstańcy artylerję oszczędzali, niechętnie wysuwają ją do straży przedniej w ofensywie — jednocześnie nie pozwalając pozostawać jej w tyle przy odwrotach. Wynik był tego rodzaju, że aczkolwiek w ten sposób nią operując, istotnie nie tracono dział — przecież jednocześnie i niewyzyskiwano jej dość należycie.

Z tą siłą stanął Chłopiński przeciw Dybiczowi, posiadającemu 127,000 ludzi i 348 dział.

Stosunek aż nazbyt dużo mówiący. Usprawiedliwione były pozornie słowa Dybicza, przesłane w korespondencji do cara: „Nie pojmuję jak ci nieszczęśliwi zdrajcy ze swemi 27 bataljonami starego wojska ośmielają się mierzyć z naszą zwycięską armją”. Nic dziwnego więc, że plan Dybicza polegał na najszybszym działaniu, zmierzającym do uniemożliwienia powstańcom uzupełnienia swego stanu.

Dochodzi do pierwszych starć.

W połowie lutego rzutki Dwernicki zmierzył się z wrogiem pod Stoczkiem. W bitwie „uzupełnił” sobie znakomicie własną artylerię zdobywając dziesięć dział na wrogu i pokazną ilość amunicji. Jednak poza temi korzyściami, bezpośrednio płynącymi z pobicia generała Gejzsmara i poza efektem moralnym, mającym szeroki oddźwięk w całym społeczeństwie (pierwsze wielkie starcie wygrane) — zwycięstwo to należyce nie zostało wyzyskane.

Dzielnym i skutecznym ogniem zasłużyła się także artylerja pozycyjna pod Olszynką, imponując nawet Dybiczowi.

Czem mogło być w powstaniu umiętne użycie tej tak ważnej broni — niech świadczą dzieła zawsze zwycięskiego generała Dwernickiego.

Artylerię sklecił on dosyć prowizorycznie przez kpt. Puzynę, ćwicząc obsługę bądź w chwilach postoju, bądź w bitwach.

Miał on wypróbowany stały sposób walki z wrogiem, sposób zawsze skuteczny, uwzględniający w pierwszym rzędzie rolę artylerji. Polegał on na tem, że stary generał zwykle wysuwał najdalej własne armaty na początku bitwy, zajmując ich ogniem całą uwagę i energję wroga — następnie kazał piechocie i części artylerji obchodzić lewe skrzydło nieprzyjaciela, by zająć mu na tyły — a wtedy ciskał z impetem z frontu całą swą dzielną kawalerją. Zdezorientowany przeciwnik wpadał następnie pod ogień artylerji i był miazdżony. Jedną z najlepszych prób tego „sposobu” była wygrana bitwa pod Majdanem — znów nie wyzyskana na skutek odwołania Dwernickiego i jego armji pod Warszawę.

Nie wyzyskano również zwycięstwa w drugiej bitwie pod Wawrem (gdzie zdobyto na armji Gejzsmara 4 działa z zaprzęgami i jaszczkami), pod Dębem Wielkim, gdzie piechota nasza zabrała wrogom 8 dział, jak i pod Igantami, gdzie rozwinął swą błyskawiczną akcję „ognistego temperamentu” dowódca artylerji konnej Bem.

Niedołęstwo i bojaźń przed decydującym starciem Skrzyneckiego niweczyły to — co osiągnięte było, dzięki waleczności żołnierzy. Skrzynecki bał się działania zaczepnego w stosunku do Dybicza, nie zważając nawet na fakt, że atmosfera zarówno armji jak i całego społeczeństwa sprzyjały rozpoczęciu wielkich działań.

Miał ściągnąć wszystkie siły własnej armji, odkomenderowuje Dwernickiego na Wołyń z 7000 piechoty i kawalerji i 27 działami przeciw Rüdigerowi.

Następuje okres beznadziejnej akcji Dwernickiego na

Wołyniu, zakończony bitwą pod Boremlem (19.IV). W tej bitwie również artylerja odegrała pierwszą rolę, łamiąc przeciwnika pod dzielnymi rozkazami Dwernickiego. I to zwycięstwo zresztą idzie na marne — gdy wódz zmuszony jest poddać się Austriakom.

Ciekawą i ważną rolę spełniła artylerja pod dowództwem Bema pod Ostrołęką (26.V).

Bitwa ta, mogąca być zwrotem pomyślnym w dziejach powstania, znowu dzięki nieudolności Skrzyneckiego została rozegrana bez rezultatu.

W tej bitwie Prądzyński nad podziw trafnie wyzyskał warunki terenowe dla skutecznej akcji naszej artylerji. Według jego planu bitwa niewątpliwie zostałaby wygrana. Niechęć i zawiść naczelnego wodza zniweczyły te nadzieje. Plan był tak ciekawy i tak decydującą rolę artylerji tej wyznaczał, że choć w zarysach przedstawić go trzeba. Otóż warunki terenowe złożyły się w ten sposób, że nieprzyjaciel zdobywając Ostrołękę, zdobył jednocześnie doskonałą pozycję u brzegu Narwi. Z jednej strony chroniła go rzeka, z drugiej wysokie nasypy starej drogi warszawskiej, z trzeciej i z czwartej chroniące nader skutecznie przed kawalerją i piechotą — bagna. Zdobywanie tej pozycji piechotą i kawalerją było prawie niemożliwością. Prądzyńskiemu chodziło o to, aby poczekać na chwilę, gdy nieprzyjaciel upojony zwycięstwem ruszy naprzód w głąb kraju, opuszczając tem samem swoją dogodną siedzibę. Prądzyński zdawał sobie sprawę, iż nieprzyjaciel, ruszając naprzód wstrzymywał jednocześnie ogień swych lewobrzeżnych baterji, nastawiał się na cel doskonale rozmieszczonej artylerji polskiej i jednocześnie stanowił doskonały obiekt dla szarży naszej kawalerji i piechoty.

Skrzynecki poszedł jednak w kierunku wprost przeciwnym, atakując kilkakrotnie Rosjan w ich leżach. Kilkakrotnie poprzez bagna atakowała kawalerja nasza i kilkakrotnie ze stratami odrzucana była. Wkońcu, gdy (bezwiednie zresztą) spowodował Skrzynecki wyjście wroga z kryjówek — piechota nasza i kawalerja nie były już zdolne do zwycięskiego natarcia. Nadchodzi dramatyczna chwila, w której sprawę ratuje artylerja Bema, powstrzymując całą siłę Dybicza przed wpadnięciem i rozgromieniem naszej armji, której tyły, zdemoralizowane i złamane bezskutecznymi atakami poprostu niezdolne już były do akcji.

Bem ze swą artylerią i swym niesłychanym artyleryjskim tupetem, śmiało rzec można, ocalił w tej bitwie przed ostateczną klęską całą naszą armję.

Spełniłby niewątpliwie swą chlubną rolę i w obronie Warszawy w końcowej fazie powstania — gdyby niesłychane rozprężenie w rządzie polskim i dowództwie naczelnem nie uniemożliwiło mu tego.

Bowiem do końca akcji wojennej artylerja, częstokroć na czele innych broni świeciła, jak kroniki tych czasów nam przekazują, — zapalem, poświęceniem i służbiścieścią.

Zły los chciał, że tych wartości nie można było zużytkować dla sprawy Niepodległości.

Kan. z cenz. J. Kozielewski



## POLSKA POLITYKA GOSPODARCZA PRZED POWSTANIEM LISTOPADOWEM

Nikt nie oblicza, że z tej nędzy, właśnie z tej nędzy, wyłoni się powszechny dobrobyt. Celu tego nie osiągnie się, to pewna bez wielkich wysiłków i wielkich ofiar, i tylko pod dobroczynnym wpływem silnego, a sprężystego rządu”.

(Z listu Lubeckiego do Stefana Grabowskiego z dnia 14 maja 1824 r.)<sup>1)</sup>

Jest bardzo na czasie z powodu rocznicy powstania — i obecnej akcji oszczędnościowej rządu — przypomnieć warunki, cele i metody ówczesnej polityki gospodarczej, zwanej popularnie „polityką Lubeckiego”.

Sytuacja finansowa Królestwa Kongresowego w chwili, gdy Ksawery ks. Drucki-Lubecki mianowany został ministrem skarbu (rok 1821), była, krótko mówiąc, beznadziejna. Kasy puste, deficyt budżetowy sięgający 10 milionów złp. (wysokość budżetu po stronie wydatków — 60 milionów złp.), źródła kredytu wyczerpane, wojsko nieopłacone, rachunki zaległe na sumę 9 milionów złp.

A teraz przeciwstawienie: — zapasy kasowe w r. 1824 wynosiły już 11,5 milionów złp. W roku 1830, w chwili wybuchu powstania doszły do wysokości 34 milionów złp. (przy wysokości budżetu po stronie wydatków — 80 milionów złp.)

Lecz nietylko skarb Królestwa przy obejmowaniu urzędowania przez Lubeckiego był w ciężkim położeniu. W położeniu takim znajdował się cały kraj — prawie wyłącznie rolniczy. Czasy te to nietylko okres angielskiego „Kornbillu”, to także okres wysokich pruskich opłat tranzytowych na naturalnej drodze eksportu polskich zbóż, na drodze do Gdańska. Kraj dusił się nadmiarem zboża. Zadłużenie rolnictwa, przedtem nieodczuwalne teraz z całą siłą wystąpiło na jaw.

To też drugim zadaniem Lubeckiego było ożywienie życia gospodarczego kraju — uzdrowienie jego struktury przez stworzenie poprostu przemysłu i handlu, przez odpowiednie wyzyskanie naturalnych bogactw.

Jakie więc środki zastosowano w pracy nad odbudową gospodarki kraju.

Tutaj zastanowić się należy jeszcze nad sprawą położenia politycznego, właśnie z gospodarczego punktu widzenia.

Otóż było rzeczą jasną dla Lubeckiego, że zła sytuacja finansowa Królestwa Polskiego jest bar-

dzo na rękę tym z otoczenia cara (tak zwanym „sferom senatorskim”), którzy pragnęli zniesienia autonomji Królestwa. Cóż bowiem łatwiejszego, jak udowodnić, że nie może ono samo się utrzymać?

Zatem także sytuacja polityczna wymagała jaknajskuteczniejszych i jaknajszybszych środków w celu zrównoważenia budżetu przedewszystkiem. Na dalszą zaś metę według słów Lubeckiego, trzech rzeczy było potrzeba: 1) szkół, t. j. oświaty i rozumu, 2) przemysłu i handlu, t. j. zamożności i bogactwa, 3) fabryk broni.<sup>2)</sup>

„Lubecki odarł kraj, aby go potem wzbogacić”. W dążeniu do zrównoważenia budżetu nie zrażał się niczem, nawet tem, że całe prawie społeczeństwo miał przeciw sobie. Czy to z powodu surowego i bezwzględniego ściągania zaległych i bieżących podatków, czy to z powodu podwyższenia podatków konsumcyjnych (zwłaszcza od napojów alkoholowych). Z niesłychaną konsekwencją obcinał te etaty i wydatki rzeczowe, które nie były, zdaniem jego, bardzo potrzebne. Uporządkował budżet, tworząc go jednolitym i jasno prowadzonym. Pilnował, by ani jedna jego pozycja nie została przekroczone. Dobrał odpowiednich urzędników, wymagając od nich b. wiele pracy i poświęcenia „dla służby”. Podatki zaczęły wpływać regularnie choć gorliwość urzędników przyczyniła się do niepopularności ministra. Nie dbał jednak o nią, wobec powagi sytuacji narażał się także na zarzuty niekonstytucyjnego działania, „Łamał formy” licząc się z wyjątkowymi warunkami. Doprowadził jednak finanse państwa do stanu bardzo pomyślnego. Uzyskał stąd możność zaciągnięcia pożyczki zagranicznej na bardzo dogodnych warunkach, przeznaczonej na cele inwestycyjne, jak podniesienie górnictwa, ukończenie kanału augustowskiego, kanalizację Warszawy i t. p., a także na dotację dla mającego powstać Banku Polskiego.

Te zamierzenia wkraczają już w drugą fazę pracy Lubeckiego. Pracy już nie — jak się wyrażał — Ministra Skarbu, ale Ministra Finansów. Pracy mającej na celu rozwój gospodarki kraju. Przekonany, że wyłącznie rolnicza struktura kraju nie gwarantuje mu na daleką metę samodzielności, pomijając już fakt, że rolnictwo będzie coraz mniej rentowne, gdyż nawet kraje dotąd importujące zboże zaczęły gwałtownie popierać u siebie produkcję rolniczą (np. Anglja), poprzestał w tej dziedzinie

<sup>1)</sup> „Polityka Lubeckiego przed powstaniem listopadowym”, Stanisław Smolka, Kraków 1902, str. 203.

<sup>2)</sup> Tamże — str. 131.

na utworzeniu Towarzystwa Kredytowego (1825), mającego regulować i ułatwiać oddłużenie rolnictwa.

Cały wysiłek zwrócił na popieranie i tworzenie przemysłu krajowego. Fundusze na te cele chciał otrzymać drogą jakbyśmy to dziś określili, wewnętrznej kapitalizacji, której punktem rozdzielczym miał być stworzony przez niego Bank Polski (r. 1828). Przy pewnej niechęci do korzystania z kapitałów obcych, przyjmował jednak Lubec-ki z otwartymi rękami rzemieślników, fachowców i przedsiębiorców z zagranicy, by ci zaszczypli w kraju ten upragniony przemysł. Oczkiem w głowie Lubec-kiego było górnictwo. Tu spodziewa się znaleźć nietylko poważne źródło dochodów dla skarbu, ale i podstawę do rozwoju przemysłu metalurgicznego nawet wojennego.

Przytem nietylko nie zapominał o budżecie, ale jeszcze z większą skrupulatnością bronił się przed nowymi wydatkami, mimo, że potrzebę ich zmuszony był często uznawać.

Wydatki na inwestycje pokrywał z pozabudżetowych źródeł. Rząd zasadniczo dawał inicjatywę, umożliwiał i ułatwiał rozwój kredytu przez stabili-

zację finansową i przez stworzenie Banku Polskiego. Dawał podstawę pod siłę gospodarczą kraju. A przez to, pod jego samodzielność polityczną.

Powstanie listopadowe wybuchło w chwili, gdy prace Lubec-kiego zaczęły już wydawać owoce, w chwili, gdy ogół zaczął się powoli do niego bardziej obiektywnie ustosunkowywać. Pamiętać bowiem należy, że cała ta jego działalność miała miejsce wśród niechęci t. zw. „sfer senatorskich”, jak i rozgoryczonego polityką podatkową społeczeństwa polskiego. Dopiero więc po 9-ciu latach przekonano się o słuszności tak surowych metod.

Cel ostateczny Lubec-kiego nie został osiągnięty—nie z jego winy. Jednakże jego żelazna konsekwencja, trzeźwość w ocenie sytuacji i wytrwałość przy postępowaniu wzdłuż raz obranej drogi pozostaje jako dobry wzór i dzisiaj. Nie wszystkie jego plany zostały doprowadzone do końca, ale to, co zostało dokonane, lub zaczęto, świadczy wymownie o celowości i słuszności przynajmniej w ówczesnych warunkach—tej pierwszej może nowoczesnej polskiej polityki gospodarczej.

Kan. z c. mgr. *K. Hedinger*

## GŁOS RYCERSKIEGO OBOWIĄZKU

Od śmierci Stefana Żeromskiego upłynęło w dniu 20 listopada lat dziesięć. Mogłoby się zdawać, że jest to wystarczający okres czasu, aby niezwykła w swej istocie twórczość wielkiego pisarza dostała się na warsztat pracy już nietylko krytyków, ale i historyków literatury. Niestety, tak nie jest. Wciąż jeszcze czekamy na dzieło, któreby nam—na podstawie badań, a nie wyłącznie emocyj — oświetliło całokształt twórczości Zmarłego, wyodrębniając w niej najistotniejsze momenty i problemy.

Dosyć już za życia pisarza mówiono o jego „myśli społecznej” czy „artyzmie formy”, nie definiując bliżej jednej ani drugiego. Musimy dążyć do tego, aby głos zabrali powołani badacze literatury. Rozumiemy, że nie jest to kwestja tak łatwa. Dzieło Żeromskiego zbyt może jest jeszcze związane z współczesną rzeczywistością polską, aby się je dało spokojnie i beznamyślnie badać, rozpatrywać i oceniać. Twórczość Żeromskiego—mimo śmierci autora—wciąż jest jeszcze wyjątkowo żywa, jako w wielu wypadkach odbicie współczesności. Trudności te jednak muszą być przewyciężone.

Istnieją w przebogatej twórczości Żeromskiego kategorie

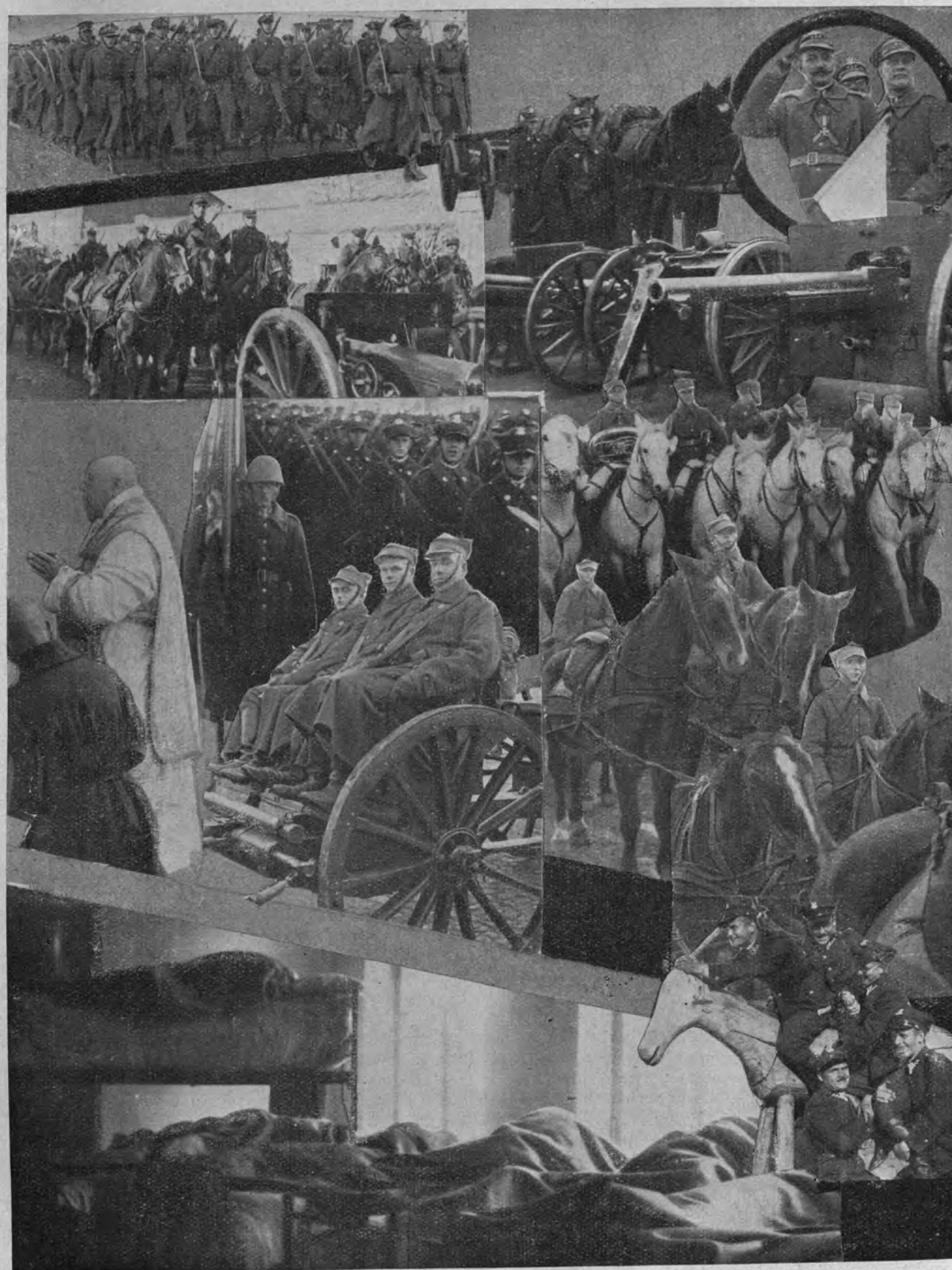
zjawisk, które można już dzisiaj wyodrębnić i klasyfikować. Niestety specyficzne, a z wielu zasadniczych względów zrozumiałe nastawienie krytyków za życia pisarza nie uległo jeszcze i dziś zmianie. Nie wszyscy zrozumieli, że obecnie nie jest już ani konieczna, ani potrzebna obrona pisarza przed zarzutami tego odłamu społeczeństwa, które Żeromskiego zwalczało za życia i obrzucało błotem jego świeżą jeszcze mogiłę. Do rzędu zagadnień pomijanych dotąd naogół uporeczywem milczeniem należy — między innymi — i historjografja pisarza, a dalej ogólny problem Żeromskiego jako powieściopisarza historycznego. Każde z tych kapitalnych zagadnień da się rozbić na dziesiątki pomniejszych, których hierarchiczny układ nie powinien narzęczać zbyt wielu trudności.

Wspominając o powieści historycznej, tak olbrzymią rolę odgrywającej w całokształcie twórczości pisarza, nie możemy przejść obojętnie obok jednego z najistotniejszych dla Żeromskiego problemów — heroizmu i ofiarności. Wszelka siła zbrojna i czyn, będący sam w sobie gwałtem, łączy się w pojęciu Żeromskiego ściśle z temi dwoma elementami moralnymi; one dopiero udzielają mu niejako sankcyj etycznych, sublimują i oczyszczają.



Stefan Żeromski

## Migawki z życia S. P. Rez. Art. we Włodzimierzu





Motyw żołnierza, oręża i walki powtarza się w twórczości Żeromskiego wielokrotnie, wypełniając sobą całkowicie treść niejednego z utworów, z klasyczną epopeją historyczno-żołnierską „Popiołami” na czele.

Jest to rzeczą zrozumiałą u pisarza, będącego przez długi okres czasu w naszej literaturze najgorętszym chorążym i najzarliwszym heroldem sprawy niepodległości, z którą wiązała się ściśle idea polskiego czynu zbrojnego. Po przez tę ideę zbliżył się Żeromski do pojmowania i rozumienia żołnierza polskiego, który był zawsze najbliższy sercu pisarza.

Żeromski, poeta namiętności i żywiołów, nie mógł przejść obojętnie obok zjawiska wojny, będącego w swej istocie jednym z największych żywiołowych i niemożliwych do opanowania — przynajmniej jeszcze na długo — kataklizmów społecznych.

Długoletnie studia historyczne, do których czuł przez całe życie najgorętsze zamiętanie, pozwoliły mu na bliższe zapoznanie z dziejami oręża. Pamiętamy, że epoka, która go — jako historjografa — szczególnie interesowała, t. j. okres niewoli, pełna była nieustającego szczerku oręża polskiego żołnierza, walczącego o odzyskanie niepodległości.

Podczas pracy w bibliotece Rapperswilskiej i potem Zamojskich styka się Żeromski z olbrzymim materiałem, dotyczącym zbrojnych ruchów niepodległościowych, a przede wszystkim udziału Polaków w walkach Napoleona.

Bada Żeromski człowieka wojny. Interesuje go psychologia wodza i szarego żołnierza; stara się rozłożyć na składowe elementy skomplikowaną psychikę żołnierską. Uczy się rozumieć jego myśli i uczucia, w pokoju i podczas wojny. Śledzi uważnie momenty narodzin heroizmu i ofiarności. A jednocześnie odmalowuje tragiczny w swym realizmie obraz nieustraszonego żołnierza-bojownika, który bez munduru i towarzyszy prowadzi walkę na szczycie skrwawionej barykady społecznej.

Żołnierza polskiego trzeba wskrzeszać z martwych, krzepić i podtrzymywać na duchu. „Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie zleknie się twych słów i twoich czynów. Gdyby nawet twoja sprawa była przegrana — ona ci wiary docho-

chowa, — ujrzy i spamięta dni twoje i nocę, mękę, wysiłek, trud i zgon... W twoje ręce skosniałe i dopiero w śmierci bezsilne złoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie”. Tak przemawia poeta do rewolucyjnego bojowca, zawsze tego samego polskiego żołnierza.

Żeromski, stał się artystycznym kronikarzem licznych fragmentów kampanij legjonów, walczących pod znakami Napoleona. I tutaj musimy podziwiać jego pieczołowitość w przedstawieniu strony merytorycznej, wierność w tysiącnych szczegółach, cierpliwość w najprawdziwszym odtwarzaniu licznych drobiazgów. A jednocześnie co za wspaniałe wicher genialnej epickości wieje ponad polami bitew, niosąc żywe echa przeszłości.

W scenach batalistycznych (zwłaszcza w „Popiołach”) nie nleża Żeromski — jak Sienkiewicz — oszołomieniu. Nie tworzy wielkich, kolorowych i zamazanych plam. Zbyt długo i solidnie studjował pisarz przebieg kampanij i bitew, by je teraz utopić w oszalałym szczerku oręża i tumanach armatniego dymu. W opisach akcyj wojennych lubuje się Żeromski w precyzji i wierności. Żadnej przesady, błagi, nieścisłości. Nietylko laika ale i żołnierza zdumiewa zakres ścisłej wiedzy wojennej, opanowanej przez pisarza.

Żołnierz polski, uosobienie najczęściej heroizmu i cnót moralnych, zjawia się często na kartach twórczości Żeromskiego. Od wspaniałej „Dumy o hetmanie” poprzez „Popioły”, „Wierną rzekę” i „Różę” aż po chłopczyń-bohatera, legjonistę Włodzia Jasiółda z „Walki z szatanem” widzimy go, nieznuzonego i nieulekłego w swym nieskazitelnym rycerskim duchu.

Jest w tem sens rzeczywistości polskiej, która wymaga od żołnierza nieustannej gotowości bojowej. Wiedział Żeromski, że on to właśnie wywalczy niepodległość i utrzyma ją na wieki.

Ludzie wojny i epizody wojenne przypominały przez długi czas naszemu społeczeństwu, że jesteśmy narodem, który się musi sposobić do ujęcia miecza, gdy wybiję godzina. Godziny tej dożył Żeromski, jeden z budzieli ducha żołnierskiego w narodzie, ważącego się po latach na nowy czyn zbrojny. Tym razem — zwycięski!

Pchor. St. Sm.

## NA FRONCIE SPORTOWYM

(Gawęda)

(Ciąg dalszy).

Kontynuując uwagi i rozważania na temat naszych możliwości olimpijskich, rozpoczęte w ostatnim numerze „Podchorążego”, weźmy pod mikroskop obiektywnych obserwacji dotąd nie rozpatrzone gałęzie polskiego sportu, a więc przede wszystkim sporty zespołowe.

Wychowawcy twierdzą, że wyczyn indywidualny sportowca nie posiada nigdy tej wartości, co wynik, osiągnięty przez zespół; można sobie wyobrazić, że urodzi się gdzieś jakiś fenomen, który, posiadając specjalny talent w nogach, płucach, sercu, czy w rękach, „grzał” będzie bezlitośnie wszystkie rekordy światowe — ale to jeszcze nie mówi o wartości narodu, który takiego fenomenu wydał; natura bowiem ma również swoje fantazje i lubi płać różne psikusy. Pewnego rodzaju przykładem, ilustrującym taki wybryk natury, jest na naszym terenie krótka karjera Kusińskiego, który zadziwił wielu swymi pięknymi wyczynami — ale jego wyniki nie mogły stać się podstawą do utrwalenia opinii, iż Polacy są szczególnie uzdolnieni do biegów długich — co stanowczo można twierdzić w odniesieniu do Finlandczyków.

Podobnych przykładów można przytoczyć wiele — nie będziemy się jednak gubić w szczegółowych rozstrząsaniach. Inna natomiast jest sytuacja, jeśli chodzi o wyniki, osiągnięte w sportach zespołowych. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że aby drużyna — dajmy na to piłkarska — osiągnęła piękne wyniki, nie potrzeba wcale, aby każdy z graczy był fenomenem; wystarczy, jeśli każdy ma dobre warunki fizyczne i psychiczne. Dlatego każdy sport zespołowy, wymagający dobrych danych nie od jednej, a od wielu indywidualności, jest sprawdzianem fizycznej i psychicznej wartości narodu, który dana drużyna reprezentuje. Oczywiście, trzeba pamiętać zawsze, wyciągając wnioski ogólne, o takich dodatkowych momentach, jak ogólna kultura sportowa narodu, jak umiejętności techniczne danej drużyny — jest bowiem również rzeczą wiadomą, że drużyna złożona z dobrych technicznie cherlaków może łatwo odnieść zwycięstwo nad drużyną, złożoną z jednostek o dużych możliwościach, ale możliwościach jeszcze nierozwiniętych — i korygować sądy, opierając się nie tylko na suchych wynikach, ale biorąc również pod uwagę wymienione i niewymienione okoliczności dodatkowe.

W każdym razie jednak gra zespołu odzwierciedla

w porównaniu ze sportami indywidualnymi takie dodatkowe cechy, jak np. poczucie odpowiedzialności grupowej, umiejętność współpracy, wyrzeczenie się indywidualnych ambicji dla dobra ogółu i t. p.; jest bardziej wychowawcza i pozwala na wyciągnięcie trafniejszych wniosków co do wartości społeczeństwa, które dany zespół reprezentuje.

Przechodząc od tych rozważań natury ogólnej do naszych możliwości olimpijskich w zakresie sportów zespołowych, przepuścimy przedewszystkiem przez filtr naszych obserwacji ten z uprawianych u nas sportów zespołowych, który cieszy się największą popularnością, a mianowicie piłkarstwo.

Praktykowany u nas w piłce nożnej elitarny system organizacyjny reprezentowany przez Ligę nie zdał właściwie egzaminu życiowego. Wyobraźmy sobie, jakie kłopoty musi mieć kapitan naszej drużyny reprezentacyjnej, przy każdorazowym ustalaniu składu drużyny na mecze międzypaństwowe — wymaga się od niego bowiem brania pod uwagę przedewszystkiem graczy ligowych, podczas, gdy, być może, w A-klasowych, czy nawet jeszcze słabszych drużynach prawdopodobnie znaleźliby się bardziej uprawnieni reprezentanci naszych barw państwowych. Ale — jak ich znaleźć? Trzeba mieć zawsze możliwość porównywania, co jest właściwie przez system ligowy uniemożliwione. Niby można by tworzyć jakieś teamy, zarządzać rozgrywki — ale i to do celu nie prowadzi.

Nasi piłkarze — niby nieźle grają, ale nigdy nie wiadomo, czy nie zawiedzie ich forma fizyczna, uzewnętrznia się brak zgrania drużyny reprezentacyjnej, czy też załamia się psychicznie. Rzadko słyszy się o piłkarzach, że cała drużyna dała z siebie, co mogła; zawsze ktoś się lenił, inny nie był w formie, jeszcze inny grał zbyt egoistycznie; każdy z osobna to dobry piłkarz, ale w kupie — coś się nie klei. I z tem gorzej, że im się tak nie klei od dłuższego już czasu. Nasz bilans spotkań międzynarodowych jest opłakany. Potrafimy przegrać z honorem z Niemcami — ale to jest właściwie jedyny nasz — i to bardzo względny — sukces na polu międzynarodowym. A poza tem — klęski. Coś tam w piłkarstwie szwankuje — a może u nas brak poczucia wspólnej odpowiedzialności i nie posiadamy zdolności do współpracy? Może i tu znajduje uzasadnienie słynna już na całym świecie opinia, że gdzie trzech Polaków, tam musi być przynajmniej pięć zdań? Nie zapędzajmy się w zbyt pesymistyczne wnioski — wiemy wszyscy, że gdy nas bieda przycisnie, to potrafimy zdobyć się na wspólny wysiłek. Oczekujemy od piłkarzy tego właśnie wspólnego wysiłku, a być może, znajdziemy się na czele piłkarstwa światowego — bo możliwości bezwątpienia są.

Jeśli chodzi o inne sporty zespołowe, to wartoby jeszcze wspomnieć o grach sportowych. Coprawda, nie ma nadziei, żebyśmy w siatkówce, czy koszykówce dorównali Amerykanom, a choćby nawet Estończykom, ale, o ile sędzić można po ostatniej nieoficjalnej olimpiadzie akademickiej w Budapeszcie, nasi koszykarze mogą mieć coś do powiedzenia w Berlinie, o ile przedtem dostaną dobrą szkołę na jakimś kursie przedolimpijskim. Po sławnym grzaniu, jakie dostali nasi reprezentanci od Niemców ostatnio w meczu szczyptorniaka — nie wróżymy temu sportowi większego powodzenia na stadionie olimpijskim. Nasze panie w Budapeszcie wygrały koszykówkę, ale to jeszcze nie jest kwalifikacją do zwycięstwa olimpijskiego; osiągnięte ostatnio wyniki pań w harenie w meczach z Jugosłowiankami mają raczej miejscowy charakter ze względu na małą popularność tego sportu na Zachodzie.

O innych znanych u nas sportach zespołowych, jak np. hokej na trawie, piłka rowerowa i innych — nie warto wspominać.



Crawlem...

Pozostały nam do omówienia niektóre jeszcze, mniej popularne konkurencje lekkoatletyczne, jak np. chód, uprawiany wyłącznie prawie przez Związek Strzelecki, a któremu jego zwolennicy wróżą duże możliwości na olimpiadzie, a dalej tenis i wioślarstwo.

Tennis jest u nas dotąd sportem zbyt kosztownym, aby mógł być popularny — stąd pochodzi niska klasa naszej elity tenisowej. Krótko mówiąc, ze znanych obecnie na naszym horyzoncie tenisowym nazwisk, ani Hebda, ani Tłoczyński, ani Tarłowski, Bratek, czy Wittman, nie dorastają klasą do poziomu olimpijskiego. Sytuacja w tenisie jest o tyle jeszcze przykrejsza, że ostatnio nasi reprezentanci w tej gałęzi sportu na forum międzynarodowym mocno się nie popisali, niestety, nie tylko na terenie wyczynu



Na XI Olimpiadzie

sportowego. Przypomnijmy sobie, że niedawno kierownictwo turnieju Wimbledońskiego postanowiło wyłączyć niektórych naszych graczy z turnieju, za niedotrzymywanie umów. Reklama najlepsza dla naszego sportu, propaganda polskości bardzo niefortunna, a gracze dali dowody, że niedorastają do moralnego poziomu olimpijskiego, abstrahując już od ich wartości czysto sportowych. Z kobiet — jedynie Jędrzejowska może być brana pod uwagę, ale i ona mimo niewątpliwych sukcesów, jakie osiąga, nie może zdecydowanie podciągnąć swojej klasy.

Sprawdzianem wartości naszych wioślarzy były ostatnie mistrzostwa Europy w Grünau pod Berlinem, na torze olimpijskim. Jak widać z osiągniętych tam wyników, wielkie szanse olimpijskie ma wielka indywidualność Vereya, na powodzenie liczyć może dwójka podwójna w składzie Verey — Ustupski. Liczyć się bardzo poważnie trzeba jednak z wynikami amerykańskich, wioślarzy, oraz angielskich studentów, którzy nie chcą pokazać przed olimpiadą swoich

możliwości. Jeśli chodzi o inne nasze osady wioślarskie — to, miejmy nadzieję, sytuacja ulegnie poprawie, a zdobyte drużynowe drugie miejsce na mistrzostwach Europy mówi za siebie. Wogóle, Polacy do wioślarstwa mają dryg: szkoda tylko, że nasze wioślarstwo nie może ogarnąć szerokiego rzesz, że dotąd jest sportem tylko dla wybranych. Kajakarstwo natomiast jest u nas bardzo jeszcze słabe i dużo wody w naszych rzekach upłynie, nim staniemy się w tej konkurencji groźni na terenie europejskim. Główną przeszkodą osiągnięcia dobrych wyników jest u nas brak odpowiedniego sprzętu i znających się na rzeczy instruktorów.

Sportom zimowym poświęcimy jedną z najbliższych gawęd. Wyniki zeszłoroczne nie są miarodajne, a obecnie nie jeszcze nie słyhać ani o narciarzach, ani o łyżwiarzach, czy hokeistach. Wszyscy oni pracują w cichości i marzą o olimpiadzie, która jest dla nich bardzo bliska. Zobaczymy ich już niedługo na pierwszych „galopach“, bo, jak nam PIM donosi, Zakopane ma już śnieg. K.

## PODHALAŃSKA IDZIE WIARA...

**T**wardo! — Twardziej!... stopniuje komenda — Nogi wylatują w górę, stopy pną się niemal ponad głowy towarzyszy i z hukiem spadają w grząskie błoto. — Bryzga na prawo, na lewo, wysoko leci strugami i długimi pasmami kładzie się na zielonych mundurach....

Prężą się nogi w kolanach, kości trzeszczą w stawach, gdyż znów komenda: „kolana proste“!... Tłuką więc twarde buty strzelców z cenzusem tę matkę ziemię, rozmiękłą, nasiąkłą deszczówką.... Muskulę drgają z wysiłku, lecz w oczach skry uśmiechu, niemal zadowolenie. — Czyż w szóstym tygodniu szkolenia rekruckiego może być coś dla nas męczącego lub ciężkiego? — Toż tylko dla nas krok „spacerowy“, nie więcej — toż bagatela.... „Ręce do pasa“. — „Tempo“ — brzmi ostrzy głos komendy.... Rżnie kompanja buciskami okutymi, jak wahała ręce podnoszą się w górę i opadają równo w dół. — Jeden huk wielki, jeden głuchy spiżowy grzmot.... Ziemia jęczy, z drzew się sypią liście i kładą się pod stopy.... a wiara wali, wybija tempo równo, twardo, raz, dwa, trzy, cztery, lewa, prawa....

„Spocznij! — Odtrąbiono!“ — padła komenda. Zakotłosała się kompanja, ucichł grzmot — huknęła wesola piosenka:

*Podhalańska idzie wiara  
z piosenką góralską w świat...*

*A pieśń ta leci z żywiołową siłą w dal. Peha ją niezmierzona siła dwu setek ust młodzieńczych i głosi światu moc i potęgę, sieje wkół radość i wesele...*

*Stają przechodnie, spieszący urzędnicy, działwa szkolna staje, przekupki i paniusie słuchają wpatrzona w ogolone głowy z przekrzywionymi z fantazją na ucho furazerkami, w twarze wesole, rozkrzywane, i mruczą pod nosem melodję usłyszaną i z dumą szepcą słowa: „Podhalańska idzie wiara...“*

*A słowa te leją w ich serca radość w miejsce gorczy, a na ustach spazmem smutku skrzywionych osiada uśmiech...*

*Bo piosenka ta, to rękawica troskom rzucona, to wyzwanie rzucone stetryczatomu światu, to ukonowanie na ból wszelki i smutek... To młodość przeciwstawia się starości, to życie godzi przeciw śmierci...*

*Rozdrżane powietrze niesie po wzgórzach daleko, daleko słowa: „podhalańska idzie wiara“...*

Przemysł

Strz. z cenz. R. GÜRTLER

## 11 LISTOPADA W GRUDZIADZU

**T**ydzień niezmordowanej pracy przełożonych... długie godziny wylanego potu kursistów nad wyrobieniem kroku, krycia i równania... próby defilady dwóch kompanij Podchorążówki Piechoty 16 Dywizji... ostatnie przygotowania umundurowania i rynsztunku... i już gotowi czekamy, licząc godziny do pierwszego oficjalnego wystąpienia przed generałem Dywizji.

Godzina 9-ta... Na dziedzińcu koszarowym 65 p. p. ruch, co kilka minut wchodzi kompanja. I my stajemy ufni w swoje siły obok kompanij sztandarowej. Ufność nasza wzmacnia się na widok naszego dowódcy Kursu kpt. Sożyńskiego, który na swoim pół-arabku objeżdża nasz front, bystrym wzrokiem ostatni raz nas lustrując.

Dowództwo nad dwoma bataljonami obejmuje mjr. Sokół, na dziedzińcu ukazuje się poczet ze sztandarem i przechodzi przed prezentującym frontem... wszystko gotowe do odmarszu... oczekujemy nadejścia płk. Cieślaka... dla nas to wszystko nowości, ale zachowujemy się jak starzy — rutynowani żołnierze... Na czele staje płk. Cieślak, i ruszamy...

Miasto przystrojone odświętnie... przechodzimy przez główne arterje miasta i stajemy nad Wisłą, gdzie zebrały się wszystkie formacje broni, aby wysłuchać mszy polowej. Na mszy św. obecni byli przedstawiciele władz wojskowych z generałem Sawickim i przedstawiciele władz miejskich z prezydentem Grudziądza p. Włodkiem na czele. Przed przedstawicielami obu władz odbyła się defilada na rynku obok pomnika ufundowanego w 15 rocznicę odzyskania niepodległości, Podchorążówka nasza szła dobrze, co widać było po uśmiechniętej twarzy p. generała. Wieczorem odbyła się akademja podoficerska w Domu Żołnierza, która zakończyła Święto Narodowe.

Strz. z cenz. Al. Leszczyński.

## AKADEMJA LISTOPADOWA PODCHORAŻYCH

Dywizyjny Kurs Pchor. Rez. w Bydgoszczy zorganizował uroczystą akademję dla żołnierzy z wszystkich kompanij strzeleckich. Sala gimnastyczna 62 pp. zapełniła się licznymi reprezentantami władz wojskowych, rodzin oficerskich, podoficerskich i podchorążackich. Widzów uderzała wspaniale udekorowana scena według projektu strz. z cenzusem E. Głazczaka. Wśród zieleni i kwiatów przebiegały się barwy piechoty: żółta i niebieska, przeplecione sztandarem narodowym. Obfity i starannie przygotowany program zdobył gorące brawa zebranych. Długo oklaskiwano wzruszającą melodeklamację „Spartanka“, wykonaną przez M. Jeszkego przy akompaniamencie K. Piątkowskiego. Na zakończenie podniosłego obchodu odegrano „Pierwszą Brygadę“.

Zdaniem licznych słuchaczy akademji — pierwszy tegoroczny występ Dyw. Kursu udał się w całej pełni, co jest niewątpliwą zasługą sekcji artystycznej Kasy Brackiej z strzelcami z cenz. Szatkowskim, Nuszkowskim, Małeckim, Putzem i Chmurzyńskim na czele.

## PRZYSIĘGA NA WAWELU

**P**rzysięgę żołnierską śmiało można porównać do dawnego zwyczaju pasowania na rycerzy. Bo w istocie, pomijając czynnik emocjonalny, przysięga jest tym przełomowym momentem w życiu żołnierskim, kiedy giermek — rekrut przemienia się w rycerza — żołnierza. Żołnierza dobrze rozumiejącego ciężką nań zaszczytny obowiązek bronięcia swą pierśią granic Ojczyzny.

Dzień święta państwowego był dniem naszej przysięgi — a stary dziedzińiec wawelski, pamiętający turnieje rycerskie, był świadkiem tej uroczystej chwili. Cztery plutony stanęły zwartym szykiem na podwórzu królewskim. Na twarzach znać wyraźnie powagę chwili. Wszyscy w oczekiwaniu przysięgi jakby zamarli w bezruchu. Orkiestra gra hymn narodowy — to wchodzi poczet chorągwiarzy i dostojnicy państwowi.

Za chwilę pada ostra komenda;

Do modlitwy!

Obnażają się głowy, z dwustu piersi dobywa się potężna pieśń rycerska: Bogurodzica. Ożył stary Wawel. W po-

jętnym akordzie pieśni zdawała się przemawiać dawna, wielka nasza przeszłość zakłeta w mury zamkowe.

Po modlitwie! — Do przysięgi!

Stuk przesuwanych karabinów, podniesienie prawych rąk w górę i powtarzanie za kapelanem słów przysięgi:

„Przysięgam... bronić Ojczyzny... chorągwi wojskowych nigdy nie odstąpić... stać wiernie na straży konstytucji i honoru żołnierza polskiego... za sprawę Ojczyzny swej walczyć do ostatniego wpiersia tchu... I wogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać, jak prawy żołnierz polski“. Słowa przysięgi wpadają głęboko w serca nasze, ze wzruszeniem je powtarzamy. Jesteśmy już prawdziwymi żołnierzami. Po przysiędze! Minął okres rekrucki — rozpoczął się nowy okres w naszym życiu żołnierskim.

Zaraz po przysiędze defilada przed sztandarem pułkowym. Maszeruje pluton za plutonem krokiem dziarskim, sprężystym. Uroczystość na Wawelu skończona.

Podchorążówka spieszy przed płytę Nieznanego Żołnierza, aby wziąć udział wraz z całym garnizonem w defiladzie przed p. gen. Mondem.

Po defiladzie odbył się uroczysty obiad żołnierski w salach naszej Szkoły. Na obiad przybyli d-ca dyw. p. gen. Mond, p. ppłk. Brożek d-ca 20 p. p. i inni. W wesolym nastroju obiad przyciągnął się do późnych godzin.

Przysięga i uroczystości z nią związane należą już dziś do przeszłości. Ale słowa przysięgi utkwiły nam w sercach i pamiętać będziemy je zawsze.

Kraków

strz. z cenz. St. Jarzębiński.

## PRZEDSTAWIA SIĘ CIESZYN...

**P**rzerwa! Można palić! Bardzo miłe słowa, tembardziej że powszednie, zresztą lubiane godziny wyszkolenia bojowego mamy za sobą. Z różnych pagórków, jarów i lasków wchodzących w skład placu ćwiczeń wracają plutony na punkt zborny. Błota na sobie zbyt wiele nie mamy. Przerwa. — Dajcie kolego ognia — podaj dalej. Kupujemy jabłka od cywila, który cały swój „interes“ umieścił na starym rowerze. Te jabłka zostały posądzone przez Komendę Kursu o to, że wywołują taki skutek jak... soda w kawie. Kto wie? Może i przyroda sua sponte zaczyna już współdziałać z militarystem. — Twardą „I kl. szosą“ wracamy do koszar. Śpiewamy dużo, plutonami na zmianę. Pierwsze miejsce oddajemy piosenkom góralskim. Pod ich takt świetnie się maszeruje, a ich swoisty dowcip wprawia nas w dobry humor, który nowoczesna higiena, a z nią razem i wojskowa, docenia należycie.

Także śląskie piosenki są w obiegu, a niektóre z nich cieszą się wielką popularnością. „Szlagiery“ natomiast nam nie odpowiadają. Nie są dla nas szlagierami. Wykorzystamy je, jak się znajdziemy na parkiecie. Stanowczo nie harmonizują z kutami butami. Górale i Ślązacy. Przydzielono nas do plutonów w zależności od tego skąd jesteśmy. Podhalańskie osobno, Ślązacy osobno. Zdawałoby się, że w wyniku silnego nastawienia regionalnego współżycia będzie utrudnione. Tak nie jest. Nie tylko, że zgoda jest wzorowa, ale rychło zżyliśmy się, a pozostała tylko zdrowa rywalizacja o lepsze w wyszkoleniu wszelkich dziedzin wiedzy i sztuki woj-skowej. Strzelanie, którego wyniki są dla nas najbardziej wymierne, jest tej rywalizacji przedmiotem najbardziej honorowanymi.

Plutony dostały sale, mające służyć za świetlice i jadalnie. Nowe ściany świeżo pobielone, dawały tylko to minimum jakiego od nich można wymagać, to jest schronienie.



Trójka Dandysów

fol. Królicki

Oko ślizgało się z kąta w kąt, nie znajdując oparcia. Zakasałi rękawy nasi koledzy i stworzyli piękną dekorację, opartą na motywach góralskich. Zakupiliśmy dobre radio i przy pomocy tych skromnych środków, będących owocem dobrej woli kolegów, zdołaliśmy stworzyć odpowiednie warunki do życia świetlicowego.

Było radości co niemiara. Dostaliśmy peleryny i kapełuszki z piórami. W tym stroju mieliśmy defilować w czasie święta państwowego. Co to za ruch się zrobił. Ile chwil każdy spędził przed lustrem, ucząc się przerzucać pelerynę przez ramię i plecy, ile padło kokieteryjnych pytań w rodzaju: „Czy dobrze mi w tem”—to trudno byłoby ustalić.

W dniu 11 listopada garnizon cieszyński gościł p. gen. Łuczyńskiego i przed nim defilowaliśmy. Przyznać muszę, że mieliśmy przed defiladą lekką tremę, bo maszerować na baczność w długiej pelerynie jest trochę trudniej niż w płaszczu.

Defilada nasza—pierwsze nasze oficjalne wystąpienie—wypadła dobrze. W dniu tym odbyła się uroczystość otwarcia wspaniałego Domu Żołnierza i oddania go do użytku. Odbył się w nowych murach Domu obiad, na którym był obecny p. gen. Łuczyński, przedstawiciele władz cywilnych i społeczeństwa. Czas przeplatany mowami, toastami, koncertem orkiestry i naszym śpiewem szybko schodził. Staraliśmy się odegrać rolę gospodarzy jaknajlepiej i może dlatego wracaliśmy do koszar niezbyt syci.

Strz. z cenz. T. Królicki

## 11 LISTOPADA W ZAMBROWIE

Zambrów 17-tą rocznicę odzyskania niepodległości obchodził wyjątkowo uroczystie. Już w przeddzień święta na ulicach miasta i na budynkach koszarowych powiewały zielone girlandy i biało-amarantowe sztandary, okalające portrety pierwszego obywatela Rzeczypospolitej p. Prezydenta i wielkiego Budowniczego — ś. p. Marszałka Piłsudskiego.

Następnego dnia rano po uroczystej pobudce odegranej przez 71 p. p., tutejszy garnizon udał się do miejscowego kościoła parafialnego. Po mszy św. odprawionej przez ks. prałata Misiewiczza oddziały wojska pod dowództwem p. majora Ksandra pomaszerowały na rynek. Tutaj, ustawione w dwie kolumny, na które złożyły się kompanje: Szkoły Podoficerskiej, Dywizyjnego Kursu Podchorążych i 71 p. p., oraz Szkolnego Baonu Piechoty, wysłuchały przemówienia p. pułk. dypl. Łańcuckiego, który wspominając o zasługach Wodza Narodu, zwrócił uwagę na Jego testa-

ment, który przedewszystkiem wojsko ma wypełnić. Po zasalutowaniu chorągwi państwowej i wzniesieniu trzykrotnego okrzyku na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej rozpoczęła się defilada.

Przed trybuną p. pułkownika przeszły zwarte oddziały wojska. Czcy p. oficerów i całej ludności ze szczególną uwagą śledziły przemarsz Szkolnego Baonu Piechoty. A przyszli podchorążowie nie zawiedli pokładanych w nich nadziei. Sprężystym i równym krokiem, twardo uderzając o bruk, przeszli dziarsko, wzbudzając uśmiech zadowolenia na ustach p. pułkownika.

Szczególnie kompanja C. K. M.-ów\*) zachwyliła wszystkich swą żołnierską postawą i jednolicie przez cały czas utrzymanem tempem. Dopełnieniem uroczystości była akademja urządzona staraniem S. P. R. i Kursu Dywizyjnego, oraz zawody piłki nożnej rozegrane między wyżej wspomnianymi szkołami z wynikiem remisowym 3:3.

strz. z cenz. T. M.

\*) W Zambrowie bez zmian. K. M-y się zawsze stawią... (Przypisek korektora).

## LISTY Z ZAMBROWA

(Ty, ty moje marzenie)

Ty, ty moje marzenie, taki tytuł nosi dzisiejszy list i jako taki posiada charakter osobisty. Komentarze chyba zbędne, że dominować w nim będzie liryzm, czystej wody pourlopowe, techniczne smutkiem uczucie wspomnień. Powie ktoś: — Jakże to listy z Zambrowa!

A cóż to mili czytelnicy, czy to w Zambrowie serca z kamienia, czy to przyszli podchorążowie mają tylko umieć, jak nakazuje regulamin z trzaskiem robić chwyt bronią, lub pożerać kilometry? Pytam się. A może was razi ten pierwiastek wyłączności osobistej? No, nie ja jeden przecież byłem na urlopie i nie ja jeden w ukryciu patrzę codzień na Jej fotografię. Ja tylko jeden wylewam swe uczucia na papier. Wolno mi chyba będzie teraz bez uszczerbku dla oddania ogólnego nastroju użyć terminu: osobisty.

To co ja przeżyłem, to o czym śniłem zapewne znalazło oddźwięk w sercu niejednego strzelca. Zresztą poco mówić zapewne, znalazło i już. Nie wierzcie czytelnicy? Jeszcze nie wszyscy z was chyba byli na urlopie, nie wszyscy mieli możność wykazania swych umiejętności salutowania na sześć kroków wprzód i trzy wstecz. Coprawda tylko Zambrów znalazł się w tem szczęśliwym położeniu. (mam na



W okopach

fol. Królicki

myśli urlop, a nie salutowanie) Lecz nie sądzę, by tylko Zambrów przeżywał to, co czuje żołnierz, gdy wydadzą mu wreszcie tak długo oczekiwaną kartę urlopową. Bez względu, że inne są refleksje pourlopowe, a inne przedurlopowe. Ostatecznie jednak zmierzają one do jednego, a raczej do Jednej. (To nie jest reguła, może ich być więcej).

Ja będę mówić o tych wrażeniach pourlopowych. Nie miejcie mi więc za złe drodzy czytelnicy, jeśli miejscami z wierszy powieje smutek. Ci, którzy podczas tych paru dni (w cywilu dzień krótki) nie zważając na przyjęte konwenanse składali wizyty dniem i nocą (komu? — no, Jej) napewno nie zdziwią się nastrojem tego listu. Bo taka szalona zmiana i miejsca i ludzi, szczególnie ludzi! Przecież tak niedawno był maj, byliśmy tak szczęśliwi...! Pamiętam te chwile.

Pokój, kozetka, w rogu patefon, ona no i ja. Patrzyłem w jej ogniem płonące oczy, patrzyłem długo... Program radiowy już dawno się zakończył, a my jeszcze ciągle siedzieliśmy...

A teraz... teraz przerzucam niecierpliwie kartki kalendarza i obliczam dni do przyszłego urlopu. Czy tylko ja jeden? Mój Boże! Wystarczy gdy raz na czas nie nadejdzie poczta. Ile wtenczas narzekań, latania do służbowego i mniej lub więcej przytem żołnierskich wyrażań, począwszy od wyszczególniania rodowodu po kądzieli, a skończywszy na wymienianiu najbardziej intymnych części ciała ludzkiego. A przyczyna tego wszystkiego? Nie trzeba słów...

Tygodnie tymczasem płyną tak wolno, dzień wbrew prawom przyrody miast być krótszy, przynajmniej pozornie, przeciąga się niemiłosiernie w nieskończoność, tym razem już niestety faktycznie. A na salach nastroj dziwnie (no właściwie to nie dziwnie, zupełnie naturalnie) prostują więc, na salach nastroj zgoła nie żołnierski. W rogu gdzieś pod oknem stoi zapatrzony w dal strzelec i gra smętne melodie na skrzypcach, inny wciąż pisze listy, jeszcze inny siedzi i duma. Nie można do nich podejść; są dziwnie podnieceni, patrzają błędnymi oczyma...

— Może jeszcze nie jedzą, dorzuci ktoś uszczypliwy.

O nie, w wojsku miłość nie tamuje apetytu. Nawet największy romantyk z ochotą, mało: z entuzjazmem pędzi do jadalni i ze skupieniem i odpowiednim pośpiechem, godnym lepszej sprawy zmiata co jest. Nawet i kaszę. (Trudno, na bezrybiu i rak ryba).



Przysięgam...

fol. Czanyński



Defilada

fol. Górski

Z urlopu pozostały już tylko strzępy pergaminowego papieru, tułającego się gdzieś na dnie walizy, a ja jeszcze ciągle widzę Twe iskrzące się oczy.

Pamiętam ten dzień. Okrutny czas przesuwiał bezlistośnie wskazówki zegara szybciej, coraz szybciej... Byłaś tak blada, tak blada jak ja. Drżały Ci wargi. A potem... ze zgrzytem wjechała na peron lokomotywa, wlokąc za sobą sznur pulmanów. Widziałem Cię jeszcze z okien wagonu, potem mignęła mi jeszcze Twa główka, na zakręcie dojrzałem jeszcze, jak powiewałaś chusteczką...

Na urlopie była zaledwie czwarta część kompanji, nie solistów znów i nie samych zakochanych, a mimo to Druga śpiewa teraz same sentymentalne tanga. I co jeszcze dziwniejsze, śpiewa dobrze. Czemu to przypisać? Nie wiecie wy wszystkie piękne i czarujące, wy platynowe blondynki i wy hebanowe brunetki... A może wiesz Ty, Ty moje marzenie...

S. P. R. P.

strz. z cenz. T. Machajski

## REFLEKSJE...

Sprężyły się piersi. Zalsniły bagnety. Dudni, warczy, huczy asphalt... Idą zwarcie, stalowo, rycersko. Prezentują broń przed grobem Nieznanego Żołnierza. Stoją, jak struny sprężystości, jak dęby ogromni... Gdzieś z głębi serca wylaniają się wizje walk, zwycięstw, bohaterstw. Rosną piersi, biją serca, chłoszczą myśli: „to my, nowi rycerze, ogromni — my, owiani mitem legend, nimbem snów i zwycięstw. Rośnie wizja Legjonów, Orląt, dzieci...

Zstępuje ciemna noc. Krwawymi językami płoną pochodnie. Serca biją w bębnow takt... Idziemy mordercami, wolni, pewni.

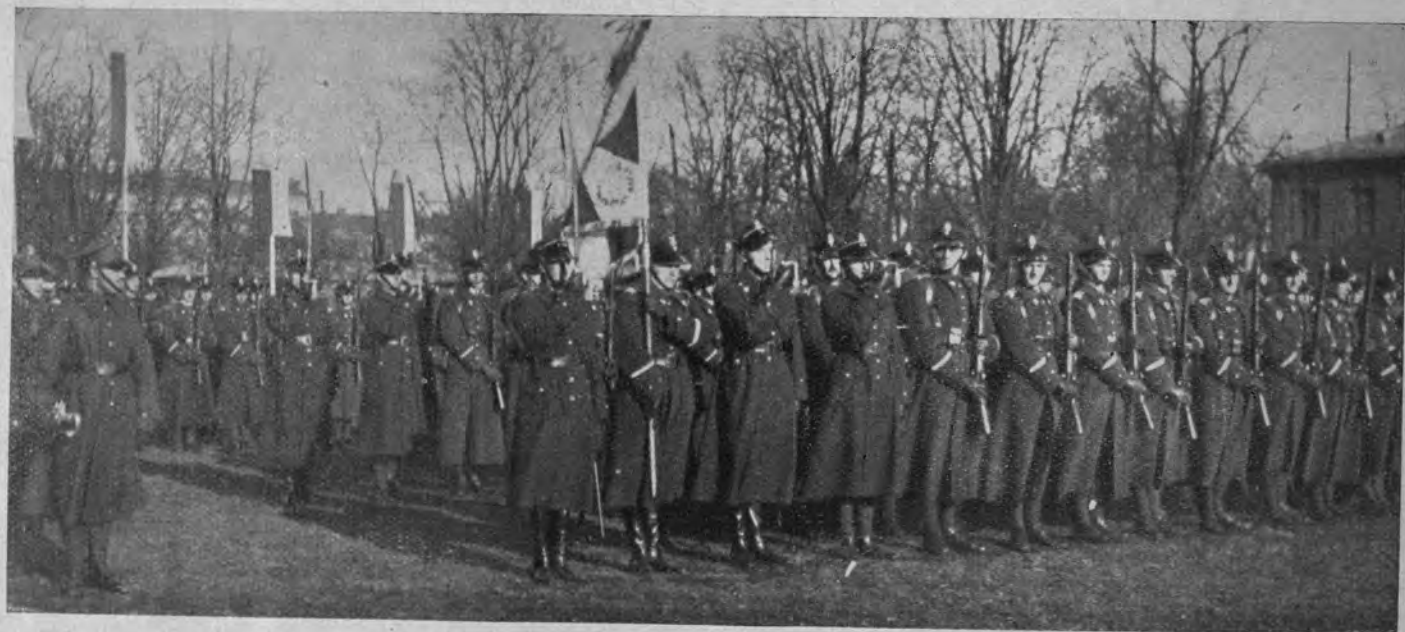
Wita nas Warszawa gwarem swych ulic, stukotem pajazdów, życiem mieszkańców... Witają nas serca, co rosną na widok naszej postawy i siły. Potężniejsze jakiś wewnętrzny węzeł, łączący nas z nimi, z obywatelami. Czują, że my i oni jedno jesteśmy. Mijamy bramy S. P. San. Przed gmachem Szkoły

stoi jak struny, napięci jakimś głębokim porywem i entuzjazmem.

Sprezentowaliśmy broń przed tymi, co polegli za Ojczyznę, przed kolegami-lekarzami, niosącymi ratunek braciom w bólu, w niedoli... Mnożą się nazwiska poległych, coraz ich więcej i więcej, słuchamy, walą serca; tyłu Ich było, polegli dla nas, dla Polski: cześć Im i sława. Zapłonęły znicze przed Ich pomnikiem, znicze serc naszych i naszej wdzięczności.

Staliśmy jak mur, pogrążeni w swych myślach w mowie serc naszych, w mowie gorącej, płomiennej. Serca jak stal stwardniały, spotężniały, ślubując wierność Ojczyźnie i obowiązkowi. I nagle poszumem spłynęła pieśń: „My przeciw śmierci idziem w bój”, tak pójdziem w bój, my Obywatele - Żołnierze... Wnet zakłóciły ciszę trąbki lkające wśród nocy modlitwą zastaną ku chmurom... Otula ciemń czarna gmach S. P. San.

Pchor. S. P. San. R. Turowski.



Baon Podchorążych Sanitarnych

fol. Pikiel

## ŚWIĘTO C. W. SAN.

(17.XI 1935 r.)

W przededniu Święta Centrum Wyszkozenia Sanitarnego kompanje Szkoły Podchorążych Sanitarnych stały przy bramie w dwuszerogach, oczekując na delegację, która wyjechała po ziemię z grobu podchorążego kaprala Zdzisława Lubaszewskiego. Kilkaset oczu wpatrzonych w bramę wjazdową — kilkaset karabinów prezentują podchorążowie przed ziemią z mogiły kolegi padłego na posterunku — załamały się kolumny — kompanja honorowa z orkiestrą i pochodniami towarzyszy delegacji, podczas gdy pozostałe kompanje ustawiają się przed zamkiem — siedzibą Szkoły Podchorążych Sanitarnych.

Tymczasem delegacja pobiera ziemię spod oddziału ocnego, gdzie przez kilka dni przebywał na kuracji Marszałek Józef Piłsudski; trzecia część ziemi została pobrana z pod zamku, przed którym w ciszy, jakgdyby wrośnięte w ziemię stoją kolumny, prezentują broń, a na schodach w otoczeniu żółtoczerwonych refleksów pochodni, odbijających się od czarnych okien zamkowych wysypuje ziemię do urny Komendant C. W. San. Generał Brygady Dr. Jan Kołłątaj-Śrzednicki. W martwą czerń listopadowego wieczoru padają słowa ape-

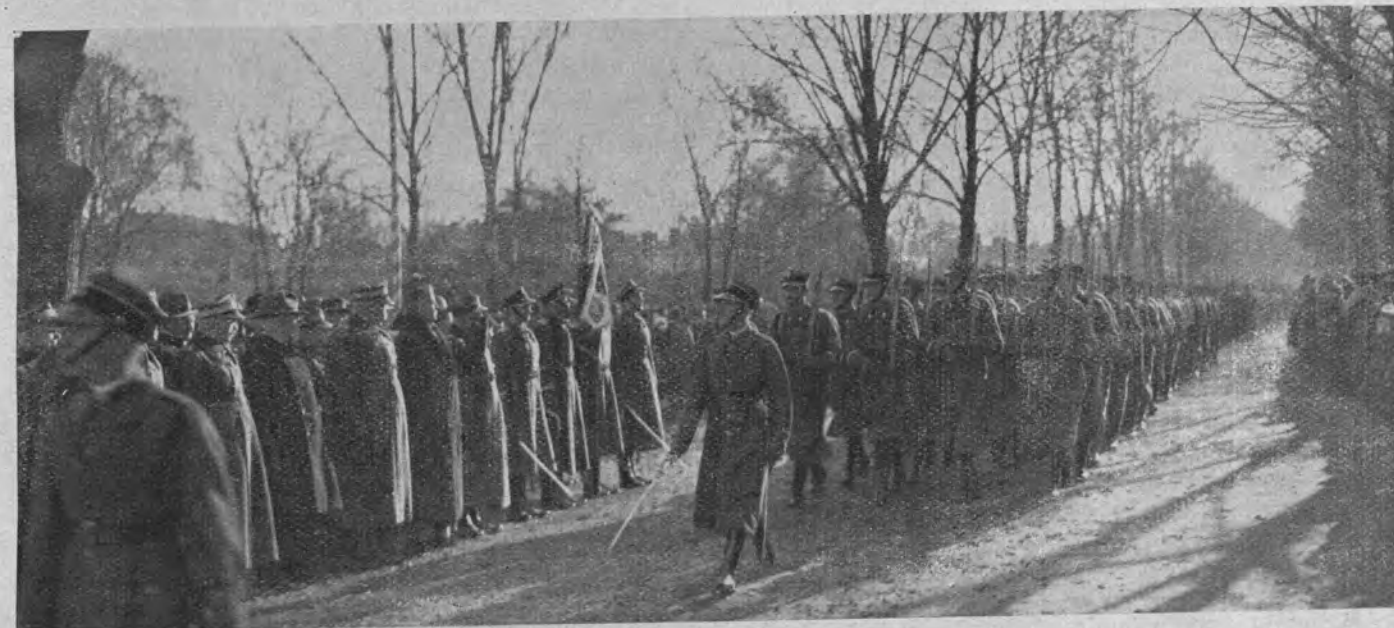
wonym sztandarem. Na placu ustawiają się bataljony — zawodowy, a za nim rezerwy — szeregi wyrównane stoją nieruchomo, skupione twarze zwrócone są ku ołtarzowi, a wszystkie oczy wpatrują się w leżący na stole przy ołtarzu sztandar, który dziś ofiarowują Podchorążym Sanitarnym Profesorowie Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Tymczasem Profesorowie schodzą się i grupują koło ołtarza — bataljony prezentują broń przed Komendantem Szkoły Płk. Dr. Ksawerym Maszadro i P. Generałem Bryg. Dr. Janem Kołłątaj-Śrzednickim.

Chwila ciszy i wzdłuż alei drzew nadjeżdża limuzyna a z niej wysiada Pan II Wice-Minister Spraw Wojskowych Gen. Bryg. Dr. Felicjan Sławoj-Składkowski, biorący dziś udział w uroczystościach, jako przedstawiciel Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

Pan Minister wchodzi na plac — orkiestra gra hymn narodowy, bataljony prezentują broń. Następują powitania między Panem Ministrem, J. E. Biskupem polowym Ks. Dr. Gawliną, Generalicją i Profesorami Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego — oraz zajęcie stojących przed ołtarzem foteli. Nabożeństwo zaczęte.

J. E. Biskup polowy podchodzi do sztandaru i poświęca go — następuje wbijanie gwoździ — szeregi prezentują broń —



„Sanitarka” defiluje...

fol. Pikiel

lu — wspomnienie zmarłych za Ojczyznę — Komendant C.W. San. udaje się szpalerem po schodach ku wmurowanym w zamek tablicom z nazwiskami tych, co wytrwali do ostatniej chwili swego życia na wyznaczonych im placówkach. Na podniesieniu stanęła urna z ziemią przeznaczoną na Sowiniec — zapłonęły znicze i w tejże chwili cały zamek zajął od światła reflektorów. Smutną pieśnią żegnał chór podchorążych ziemię z mogiły. Trębacz odegrał sygnał i z młodzieńczych piersi uderzyła w zamek i park modlitwa.

Kompanje rozeszły się do koszar — powoli opustoszał plac przed zamkiem i tylko na drugim piętrze płonęły znicze przed urną, mocno biły serca w nieruchomych postaciach honorowych wartowników i wędły świeże kwiaty złożonych wieńców.

Wielki dzień Święta C. W. San. rozświecił się radośnym światłem pogodnego poranka. O zmarzniętą ziemię twardo uderzają nogi żołnierskie. Na odświętnie przybranych barwami narodowymi placu ćwiczeń ustawiono ołtarz — obok stoi ambona w zieleni i maszt z powiewającym białoczer-

każdy wie, że ta chwila pozostanie na zawsze w naszej pamięci, że otrzymujemy znak na którym dwa wielkie słowa wytyczą nam cel w życiu: „Honor i Ojczyzna”.

Z ambony płyną słowa pełne wiary i nadziei w naszą tężyźnię i moc — słowa utwierdzające nas w przekonaniu, że służba pod tym sztandarem, który do rąk naszych za chwilę dostaniemy, to najszczytniejszy z naszych obowiązków.

W otoczeniu J. M. Rektora Prof. Dr. Stefana Pieńkowskiego i Prorektora Prof. Dr. Franciszka Czubalskiego podchodzi do sztandaru Dziekan Wydz. Lek. Uniw. Józefa Piłsudskiego Prof. Dr. Witold Orłowski i po krótkiej przemowie wręcza sztandar Panu Ministrowi, który całuje sztandar i wręcza go kłęczącemu Komendantowi Szkoły Płk. Dr. Maszadro — sztandar przechodzi w ręce poczty chorągwanego który staje przed frontem ślubującego bataljonu.

Po chwili przed sztandarem, obok którego stoją Ksiądz Biskup polowy, Generalicja z Panem Ministrem na czele i Profesorowie — defilują podchorążowie sprężystym, sprawnym krokiem.

I znów na placu stoją kolumny — następuje wręczenie

szabli prymusowi i rozdanie dyplomów oficerskich podporucznikom 8-mej promocji.

I wreszcie chwila ważna dla Rezerwy — przysięga — powoli, wyraźnie padają słowa rotę przysięgi powtarzane przez nas głośno i od tej chwili jesteśmy już żołnierzami — żołnierzami polskimi.

Jeszcze jedna defilada, jeszcze raz o asfalt uderzają rytmicznie stopami kompanje i Pan Minister żegnany opuszcza C. W. San.

W miłym nastroju zasiedli wszyscy do żołnierskiego obiadu — na jednej wspólnej ławie zasiedli oficerowie, podoficerowie i nowi żołnierze.

Serdecznie i życzliwie przemawiali Pan Generał Dr. Stanisław Rouppert, Komendant C. W. San. Pan Generał Dr. Jan Kołłątaj-Śrzednicki i Komendant Szkoły Płk. Dr. Maszadro. Po wzniesieniu szeregu toastów obiad skończył się i wyszliśmy oglądać Warszawę poraz pierwszy oczami żołnierza.

S.P.R. Sanit.

Szereg. z cen. E. Pankiewicz.

Urnna na Sowiniec.



W baterji I-szej S.P.R.A. wprowadzono w życie nową formę pracy kulturalno-społecznej. Jest nią kronika prasowa, ujęta w postaci żywych dzienników. Praca ta rozwija się bardzo pomyślnie. Założeniem jej jest dać plastyczny obraz wszystkich ważniejszych wypadków, jakie zaszły w minionym tygodniu na arenie świata. Wychodzimy z założenia, że jednym z zasadniczych braków koszarowego bytowania jest oderwanie się od toku życia, które poza bramą koszar jak dawniej, naprzód postępuje. W pracy tej wykorzystuje się wszystkie nadchodzące do pododdziałów dzienniki i czasopisma. Przekrój aktualnych zagadnień posiadać winien dwie cechy, winien być ciekawy i obiektywny, przyczem szkodliwa jest każda przewlekłość.

Próby wykazały, że żywe dzienniki cieszyć się będą wielkim zainteresowaniem. Pierwsze dwa stały na poziomie i udowodniły celowość eksperymentu.

Następujące zagadnienia zostały poruszone, a raczej w miarę możliwości głęboko ujęte: spór włosko-abisyński, monarchja w Grecji, zagadnienie sankcji i polityki międzynarodowej wobec wojny afrykańskiej, nowy program gospodarczy w Polsce, stosunki polsko-czeskie, i polsko-niemieckie, problem przeobrażeń politycznych na Dalekim Wschodzie i inne. Dużą atrakcją są wesołe feljetyony i komunikaty.

Żywe dzienniki są nie tylko polem do wyładowania młodych dziennikarzy i literatów, lecz w pierwszym rzędzie spełniają doskonale służbę informacyjną i zwracają uwagę na najistotniejsze bieżące wypadki ogólno-swiatowe.

W dalszej pracy starać się będziemy, by kroniczki prasowe stały się wycieczką i zarazem czymś na co się czeka i czemś co się lubi. Wam, zaś bracia podchorążacy po całej Polsce rozsiani polecamy bardzo tę formę pracy jako najwartościowsze urozmaicenie służby wojskowej.

Spróbujcie!

S.P.R.A. Włodzimierz

Kan. z cenz. J. Lerski

## HUBERT W GRUDZIĄDZU

Hubert w Grudziądzu! Słyszałem o nim już od lat kilku, jako o dniu szaleństw, huraganowych szaleństw galopów, wspaniałych skoków przez przeszkody, dniu „igrzysk średniowiecznych” w wydaniu XX-go wieku. Kto wie czy właśnie nie to przyczyniło się w znacznym stopniu do powzięcia decyzji wybrania Grudziądza, jako miejsca odbycia mojej powinności wojskowej. Podświadomie widziałem siebie galopującego na czele rozsypanego oddziału a wśród, tłumnie zebranych widzów naturalnie „Ona” — dumna ze zwycięstwa swego wybrańca.

Lecz jak to zwykle bywa, rzeczywistość okazała się bardzo daleką od marzeń. Już w pierwszych dniach pobytu w wojsku stwierdziłem, że wszystkie opowieści o Hubercie były conajmniej grubo przesadzone. Trudne biegi myśliwskie, konkursy hipiczne pozostały w fazie marzeń. Zwłaszcza, że p. Komendant stwierdził: „trzeba uważać, aby malcy się nie pozabijali”. Nic dziwnego, że na skutek takiego dictum, Hubert został ograniczony do łatwego biegu za mastyrem w szyku zwartym.

Grudziądz ma szczęście do kobiet i do pogody. Nie było żadnej imprezy, święta, ciekawych ćwiczeń polowych, by nie uświetniło ich w całej pełni blade słońce jesienne. Tak też było i w owym pamiętnym dniu 9.XI tak niecierpliwie oczekiwanym przez ułanów z cenzusem, no i zwłaszcza przez te, które w dniu tym zajęły wszystkie pokoje Królewskiego Dworu, reprezentacyjnego hotelu Grudziądza.

Na ujeżdżalni rozwartym czworobokiem ustawiły się szwadrony. Na prawem skrzydle trębacz. Słońce załamuje się w ich instrumentach i w sprzączkach rzędów, tworząc wspaniałe refleksy. Od strony otwartej czworoboku, na szosie rząd taczanek oczekuje na gości, by przewieść ich do Studnicy, gdzie będzie finisz biegu i przede wszystkim tradycyjny bigos.

Jeszcze ostatni rzut oka dowódców na swoje oddziały.

Jak piorun z jasnego nieba spada na nie nie spodziewającego się biednego cenzusa: „A jak mi zaraz nie schowacie tych „galopentów” przy butach, to pięć dni ścisłego jak obszył. Jak kozę sobie kupicie, to będą wam potrzebne, a nie teraz!”

Trębacz grają fanfary. Opasty siwek galopuje wzdłuż szeregów.

— „Czołem ułani!”

— „Czołem panie majorze” — grzmi ujeżdżalnia.

Pada komenda. Łamią się trójki. Nad reprezentacyjnym plutonem wiatr rozrzuca włosie buńczuka. Szwadron za szwadronem, krótkim galopem, pnie się po spadzistej drodze, wiodącej na wysoki brzeg Wisły.

Mastyrem jest sam p. Komendant.

Za grzbietem giną ostatnie trójki. Goście zajmują miejsca na taczankach.

Wielka polana przed strzelnicą upstrzona różnobarwnymi proporcjami dowódców poszczególnych plutonów. Stanowi to wspaniały kontrast z białą obrusów, pokrywających stoły stawione w o olbrzymią podkowie. Pośrodku, nad stołem generalskim, łopoczą proporce Szkoły i trzech szwadronów. Oczy wszystkich zwrócone w stronę drogi skąd mają nadjechać uczestnicy biegu.

Tymczasem...

Konie zaczynają się coraz bardziej rozgrzewać. Początkowo zwarte szyki — rozluźniają się. Z pagórkowatych pól wpadamy w las. Liście i gałęzie chłuszczą po twarzy. Czasem robi się gorąco. Znowu jesteśmy w otwartym polu. Wiatr świszcząc koło uszu. Z przodu, z tyłu, z boku — przyspieszony oddech galopujących koni. Jesteśmy na wysokim brzegu Wisły. Prawie pionowy Zjazd wód! Pochylamy się naprzód. Osłownie, krok za krokiem, coraz niżej, niżej... A później znów galop. Upajamy się pędem. Zwalniam wodze koniowi. Skaczę przez jakieś rowki. Wtem... Do rzeczywistości mnie sprowadza głos porucznika, jadącego na czele plutonu: „Nie mijać! Konia wam zabiorę! Na piechotę biec przy nim będziecie. Kozę wam kupić! Na niej ścigać się będziecie!”

Zbliżamy się do celu. Master przyspiesza tempa. Wyciągniętym galopem wpadamy na polanę. Konie buchają parą. Zsiadam i wszem wobec zaczynamy szeroko opowiadać o przebytych przeszkodach, rowach, zjazdach i t. p. Goście wierzą i podziwiają.

Lecz czy mógłby obejść się Hubert bez zawodów, bez wręczania nagród w postaci rozłożystych rogów jelenich? Pomyślano i o tem i zorganizowano bieg z przeszkodami ale... pieszo. Poskromiciele „srogich rumaków” płasali teraz na własnych nogach jak zwykli mawiać p. rotmistrz: „jak szatany”, i przeskakiwali przeszkody, których przebycie konno byłoby dla nich może bardziej niebezpieczne niż na piechotę.

Odezwał się trębacz wzywający na bigos. Poraz pierwszy „rojem” podążamy do stołów. Bigos wysmienity. Wyroby monopolowe jeszcze lepsze. Powoli nastrój jest coraz weselszy. Nikną różnice między szarżami.

„Panie hip, hip, hipolog może pan na jeden kieliszek?”! Muzyka zaczyna walczyć: „Pani rotmistrzowo, czy tak niska szarża może panią prosić o walczyka?”



Bieg za mastyrem



Wręczenie nagród



Galopem przez przeszkody...

fol. Bieliński

Kóteczko, krzyżyczek, w lewo, w prawo, cenzus prowadzi—generałowie tańczą. A potem znów do stołu. Nastrój coraz bardziej beztroski. Wszak to raz do roku. Wyrzucony sprzężystymi ramionami pan porucznik wylatuje wysoko w górę. A gdzie p. rotmistrz?

Nielatwo było znaleźć wśród lasu wyniosłą postać. Niema jednak w wojsku niemożliwości.

— Wgórę p. Rotmistrza!”

A później na zakończenie cała polana rozbrzmiewała od Kudli śpiewaniami „Zórawiejkami” na cześć wszystkich reprezentowanych pułków:

— „Słynie z mordów i pożarów, 19 pułk batiarów!”

— Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń!!!

Zbliża się chwila powrotu do domu. Plutonowy z trudem zbiera swoją gromadkę.

— „Baczność. W górę nóżki. No uważajcie, chłopcy, aby nikt nie poznał żeście pili!”

Z obietnicami przepustkami było trochę gorzej.

— „Co, chcecie przepustkę? To chuchnijcie!”

Niewielu wybrańców stanęło na korytarzach do przeglądu. P. plutonowy poucza ich o dobrem wychowaniu i manierach godnych ułana z cenzusem:

— „Jak wejdzie starsza pani do tramwaju, którym wyjedziecie, macie jej miejsca ustąpić!”

— Tak jest, wiem o tem!

— A skąd wy to wiecie?

— Z P. W., panie plutonowy.

Junosza

## ŁĄCZNOŚĆ PRZYSIĘGA W ZEGRZU

W dniu 17 listopada odbyła się w Szkole Podchorążych Łączności w Zegrzu uroczystość przysięgi szeregowców z cenz. W gronie licznych gości zaproszonych uprzejmie spoza Szkoły znaleźli się i specjaliści przedstawiciele naszego pisma, przyjęci z całą serdecznością przez gospodarzy i organizatorów pięknej uroczystości. Red „Podchorążego” uważa za swój specjalnie miły obowiązek złożenia za to wyrazów serdecznego podziękowania Komendantowi S. P. Ł. p. mjr. Uszyckiemu, przewodniczącemu Kom. Kult. Oświat. p. kpt. Doboszowi oraz adiutantowi S. P. Ł. p. por. Romiszewskiemu.

REDAKCJA.

rach zasłużonej uczelni, znanej pod nazwą Szkoły Podchorążych Łączności.

W pociągu moje vis à vis (sekretarz „Podchorążego”) drzemie wyraźnie. I jemu widać nie w smak poszła dzisiejsza pobudka. Ale co robić: obowiązek, no i ciekawość, jak też żyją te „druciki!”...

W ostatniej chwili do naszego „prawnego” przedziału wskoczyło jakieś wiele zasapane indywiduum. W ślad za starszym panem wtoczyły się niezliczone paczki i pudła. skrzynki najróżnorodniejszego autoramentu i kalibru, jakieś słoje, butle, gąsiory... Rozkoszny zapach wiktualjów i spirytualjów nie budził najmniejszej wątpliwości co do „treści” apetycznych bagażów. Przyszedłem do przekonania, że B-cia Hirsfeld, albo ich gastronomiczni kuzynowie: B-cia Pakulscy otwierają filję na prowincji.

Wysiadając w Zegrzu stwierdziłem, że smakowite walczyki znalazły się razem ze mną w autobusie jadącym do Szkoły. Acha — kochający ojczulek. Jasne...

Wzorowa organizacja uroczystości daje o sobie znać już na dworcu. Usłużni oficerowie i podchorążowie z całą galanterją opiekują się przybyłymi. Każdą pięć piękną własnoręcznie i szarmancko lokują w autobusie. Zaczynam żałować, że nie jestem kobietą.

Jedziemy do Szkoły. Mijamy most na Narwi, rzucony śmiało między wyniosłymi brzegami rzeki. Mały przystanek przy bramie, ozdobionej napisem: „Centrum Wyszkozenia Łączności”. Jesteśmy już na terenie Szkoły. Dużo powietrza, słońca, drzew. Niema wielkich i ponurych gmachów koszarowych, przynębiających samym widokiem monsturalnych kształtów.

Komenda Szkoły lśni gładką prostą białą fasadą. Wejście pomysłowo i gustownie ozdobione emblematami łączności. Tarcze sygnalizacyjne, rękawice wielkie, jak łapy niedźwiedzia, jakieś druty w girlandach zieleni.

„Podchorąży” melduje swój przyjazd. Komendanta szkoły chwilowo nie zastajemy. Poznajemy natomiast adiutanta, por. Romiszewskiego, który swą serdeczną uprzejmością otaczał nasz cały pobyt w Zegrzu. Za chwilę zjawia się miejscowy redaktor-korespondent, pchor. Wortman.

Oddani chwilowo pod jego opiekę idziemy na spacer po terenach szkoły. Z interesującej rozmowy dowiadujemy się w międzyczasie wiele. A więc przede wszystkim S. P. Ł. jest do pewnego stopnia unikatem i eksperymentem zarazem. Łączy ona bowiem w sobie — jedyną dotąd w Polsce — kompanię zawodowych podchorążych z trzema kompaniami szeregowych z cenzusem. Z tego dwie kompanie „normalnej” łączności, a trzecia — „łączności piechoty”. Ta ostatnia sprowadzona dopiero w tym roku ze zlikwidowanej S.P.R.P. w Zambrowie, zamienionej już tylko na bataljon. (Pocichu i niewidocznie, stary zambrowiak, roni w tym miejscu łezkę żalu...)

„Zawodówka” zawitała do Zegrza dopiero przed paru tygodniami. Aklimatyzacja — jak słyszę — następuje jednak rażno. Ciekawi mnie stosunek zawodowych do rezerwy.

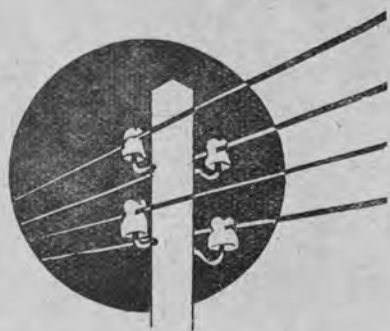
Ze słów uprzejmego rozmówcy widzę, że układa się on jaknajlepiej. Pierwszorzędnej wagi problem, z którego doniosłości zdajemy sobie wszyscy sprawę aż nadto dobrze, znalazł na terenie S. P. Ł. doskonałe rozwiązanie. Na całym szeregu odcinków panuje ściśle współzycie i harmonijne współdziałanie. W dużej mierze przyczynia się do tego osoba Komendanta Szkoły oraz grono oficerskich instruktorów i wychowawców.

Odnosi się wrażenie, że obie strony korzystają dużo z tak szczęśliwie stworzonych warunków i możliwości wzajemnego zapoznania i zblżenia. Ginie, podkreślana niekiedy, „wyższość” i „niższość” tych czy owych, wszystko jedno których.

Nie wątpię, że z czasem między obu elementami w Szkole nawiązane zostaną jeszcze ściślejsze stosunki. Niech się tylko zawodowi bardziej przyzwyczają do Zegrza i zadomowią w nowej Szkole. Warto podkreślić, że w wystąpieniach zewnętrznych biorą zawsze udział wszystkie cztery kompanie razem z zawodową na czele.

Rozmawiając spacerujemy po rozległych terenach Szkoły. Gospodarz tłumaczy nam, pokazuje i objaśnia wszystko, co tylko godne jest ciekawości i uwagi. Widzimy, że S. P. Ł. zabudowuje się i przebudowuje. Nowe odcinki dróg wewnętrznych, budynki w remoncie, niwelowane tereny pod boisko sportowe świadczą wyraźnie o pracy, jaka wre tu na każdym kroku. Oczywiście wyobraźni możemy nawet widzieć już przyszyły piękny gmach nowej Szkoły. A przynajmniej dowiadujemy się gdzie ma stać.

Po drodze napotykamy Komendanta Szkoły. „Podcho-



raży” nie omieszkał mu się przedstawić. P. mir. Uszycki wita nas serdecznie, wyrażając radość, że nareszcie „Podchorąży” nawiązują bezpośredni kontakt z Zegrzem. Zajął w tej chwili, z całą skwapliwością uprzejmie godzi się porozmawiać z nami potem, gdy będzie miał chwilę czasu.

Nasz przewodnik prowadził nas do kasyna oficerskiego, gdzie już ma bawić prasa w osobie „Kurjera Porannego”. Doskonale się składa, gdyż mamy tam możliwość poznania kpt. Dobosza, przewodniczącego Kom. kult.-ośw., i dłuższej z nim rozmowy na temat życia kulturalnego w Szkole. Ze słów p. kapitana nie trudno stworzyć sobie plastyczny obraz tego odcinka prac.

Dowiadujemy się (przedstawicielka „Kurjera Porannego” stenografuje cały czas uważnie), że K. K. O., mimo, że powstała zaledwie przed paru tygodniami, potrafiła już rozpocząć planową działalność w ośmiu sekcjach: prasowo-literackiej, oświatowej, muzycznej, historycznej, geograficznej, dekoracyjnej, sportowej...

Wszędzie pracują ręka w rękę zawodowi z rezerwą. Daje się zauważyć duży zapał, gwarantujący, że tempo prac, nie tylko nie osłabnie w przyszłości, ale raczej wzmoże się jeszcze wydatnie. Przy okazji dowiadujemy się od p. Kapitana, niezmordowanego w udzieleniu nam informacji dotyczących życia szkoły, że w najbliższej przyszłości zamierzone jest wydanie specjalnej jednodniówki S. P. Ł.

Na miłej rozmowie czas mija szybko. Trzeba śpieszyć na nabożeństwo, rozpoczynające właściwe uroczystości. Na placu obok białego kościoła stają już wyrównane szeregi. Kompania chorągwiarna, dalej zawodówka, świecąca srebrnymi galonami na rękawach, i trzy kompanie rezerwy. „Łączność piechoty”, stojąca na lewym skrzydle, zamiast saperek nosi owijacze. Przypomina to jej żywy związek z „królową broni”.

Postawa oddziałów szkolnych jest doskonała. Radują się na ten widok serca licznych mamus i tatusiów, którzy licznie zjechali na „rodzinną uroczystość”. Obawiali się zobaczyć synków wybladłych i zamorzonych, odzianych w obskurne mundury, nieumiejących sobie radzić z bronią. A ten stoi naprzeciwko rodziców i ani drgnie żywy mur. Jasno się tylko palą oczy w twarzach rumianych, pierś w solidnym mundurze dumnie naprzd pięta, głowa do góry, mina zucha.

A niech tylko zabrzmi w czystym powietrzu ostry głos komendy. Wnet szeregi załnią jednym i drugim sprawnym rachem, zawsze idealnie zgodnym, zawsze pełnym doskonałej precyzji.

Stojąc w tłumie rodziców, słuchając ich rozmów, widziałem, że byli dumni ze swych synów. Słusznie!

Znikło niesforne i rozbrykane towarzystwo cywilów. Ich miejsce zajęli żołnierze. Żołnierze Rzeczypospolitej, którzy dziś składają przysięgę, pasującą ich na rycerzy.

Od Komendanta Szkoły raport całości odbiera Komendant Centrum Wyszkozenia Łączności ppłk. Kaczmarek. Oddziały zostawiają na placu broni i rynsztunek, udając się na nabożeństwo. Szczupłe mury kościołka nie mieszczą wszystkich.

Msza skończona. W potopie na blasku słonecznego prężą się zwarte szeregi. Nadchodzi chwila uroczysta. O tem, co stanowi istotną treść przysięgi mówi pięknie ppłk. Kaczmarek. Głos jego brzmi donośnie w zupełnej ciszy. Żołnierskie słowa zapadają głęboko w serca najmłodszych żołnierzy Rzeczypospolitej.

Kapłan wypowiada rotę przysięgi. Powtarzają ją, stojący przed chorągwią z odkrytymi głowami i wzniesionymi w górę dwoma palcami, delegaci kompanii. Potem, klękając,

całują chorągiew. Od tej chwili wiedzą dobrze, że już jej nie opuszczą nigdy. Przenigdy.

Po przysiędze oddziały szykują się do defilady, która wypada wręcz pierwszorzędnie. Kompanje idą twardo, rytmicznie. Podziw i brawa. A rodzicom znów się oczy do synów śmieją...

Udajemy się teraz na obszerny plac, gdzie ma się odbyć dalsza część uroczystości. Dla zachowania ciągłości tradycji w S.P.Ł. odbywa się corocznie po przysiędze symboliczne przekazanie sprzętu nowemu rocznikowi.

O głębokiej symbolice tego faktu mówi do podchorążych Komendant Szkoły. Potem występują nowe drużyny, złożone spośród tych, co przed chwilą przysięgali, by przekazując sprzęt. W imieniu dawnych wychowanków S. P. R. Ł. przemawia jeden z podchorążych rezerwy. Melduje Komendantowi Szkoły, że pozostaną oni nazawsze wierni wszechpionym tu ideałom; zwraca się do najmłodszych kolegów z wezwaniem o dalsze podtrzymywanie tradycji wyteżonej pracy, ofiarności i niezmiennej gotowości bojowej.

Za chwilę sprzęt: radjostacja, gołębie pocztowe, centrala telefoniczna i t. d. zostaje przejęty przez nową obsługę, która tym symbolicznym gestem demonstruje gotowość do solidnej pracy, będącej piękną tradycją S. P. Ł.

Przyglądając się temu wymownemu w swej głębokiej symbolice momentowi zastanowiłem się, czy nie dałoby się przeszczerzyć tego pięknego zwyczaju i na teren innych Szkół Podchorążych.

Wdzięczny byłbym kolegom, gdyby się na łamach „Podchorążego” zechcieli wypowiedzieć na ten temat.

Następny punkt programu: wspólny obiad żołnierski. W obszernych salach kasyna oficerskiego zasiadło przy pięknie przystrojonych stołach pół tysiąca osób. Cywile popręplatali się z mundurami. Siedzi oto zuchowato nasrożony jednak między rozplywającymi się z dumy, wzruszenia i szczęścia rodzicami; młody wojak tonie spojrzeniem w zakochanych oczach dziewczęcych; opowiada rozpromieniony żołnierz swemu młodszemu braciškowi o tem, jakie to przewagi wojenne odnosił w ciągu minionych dwóch miesięcy.

Cywile słuchają. Cywile się dziwią. Cywile są coraz dumniejsi z swych kochanych żołnierzy.

Mamusie, drżące przedtem o los synków nieboraków, przekonały się, że w tej Szkole jest i dobrze i wesoło. Zmężnieli ich chłopcy, spoważnieli, nauczyli się brać wiele rzeczy na serjo. A jednocześnie nauczyli się cieszyć, rozumieli nastrój gromadnego wesela, społecznej harmonii młodości. Nikogo nie może zdziwić ani zgorszyć, gdy poważny inż. elektr. w cywilu mruga teraz na kolegę, by mu pomógł w przemyślnem zafasowaniu talerza z jabłkami, które się tak znakomicie schrupie z drużyną po capstrzyku.

Wzruszyli się rodzice i wychowankowie Szkoły tem, co powiedział w prostych słowach ich Komendant. O obowiązkach i pracach, radościach i smutkach żołnierza łączności. Uśmiechali się i potakiwali rodzice, gdy zwracał się do nich z serdecznym apelem, aby nic nie rozpieszczali synów-żołnierzy.

Metodom wychowawczym Szkoły gratulował szczerze jeden z licznych grona rodziców. Stwierdził, że oni z całą ufnością oddają swe dzieci tym, co kierują pracą wyszkoleniową i wychowawczą w Szkole. Nie zabrakło też i głosu jednego z uczniów, stwierdzającego, że ci co dziś w murach S. P. Ł. przeżywają świadomością swych zadań i obowiązków.

Podziwiałem serdeczny nastrój, jaki panował podczas wspólnego obiadu. Przy stołach siedział rzeczywicie jedna wielka Rodzina Łączność. Wiele czynników musiało się zło-



Przysięga w Zegrzu

żyć na wytworzenie tej osobliwie miłej atmosfery. Główna tajemnica zdaje się jednak mieścić w osobowości Komendanta Szkoły, tak olbrzymi nacisk kładącego na momenty wychowawcze.

Obiad przeciągnął się parę dobrych godzin. Wielkie sale brzęczały nieustającymi głosem i szumem tysięcy rozmów, śmiechów, szepłów. Trzeba się było nagadać za miesiące samotności i rozstania, wypowiedzieć to wszystko, co raduje i smuci, cieszy i niepokoi. Dużo słodkich słów i zaklęć, próśb i obietnic wysłuchały w tym dniu uszy dziewczęce...

Już w zapadającym zmroku rozgrywano spotkania w koszykówkę i w siatkówkę. Trzeba się było śpieszyć, tembardziej, że nadchodziła godzina wystawienia pomysłu zmontowanego koncertu rewji. Impreza ta udała się całkowicie, świadcząc, że w szeregach uczniów S. P. Ł. nie brak prawdziwych talentów artystycznych.

Nadeszła późna godzina odjazdu. Żegnani przez przemitych gospodarzy opuszczają liczni goście Szkoły Podchorążych Łączności. My, przybysze, zdajemy sobie sprawę, że zgromadzona tam młodzież nie tylko się uczy i doskonali w sztuce wojennej, ale wychowuje i kształci wewnętrznie. Dlatego żegnaliśmy wszyscy Zegrze z taką pełnią satysfakcji.

Pchor. St. Smoleński.



## PROMOCJA W SZKOLE PODCHORAŻYCH KAWALERJI W GRUDZIĄDZU

Piękny jesienny poranek 15 października. Błede jesienne słońce nabrało dzisiaj jakichś bardziej wiosennych rumieńców i mile lechce promieniami pożółkłe liście drzew. W jego blaskach ginie normalna jesienna tęsknota, tęsknota za „niczem”, a jednocześnie za wszystkim, i w sercu budzi się wiosenna radość życia. To dzisiaj? Tak dzisiaj! Promocja starszego rocznika. Po dwu latach ciężkiej i żmudnej pracy żołnierskiej, dotarli do celu. Spełnia się dziś ich złoty sen lat młodzieńczych, sen o koniu cisawym, o szabli ułańskiej. Ież to razy w dzieciństwie, wpatrując się w portret Ks. Józefa Poniatowskiego snuli marzenia o mundurze ułańskim. O księciu-ułanie, co honor ponad życie kochał. A dziś oto za parę godzin włożą na siebie mundur oficera polskiej kawalerji. Od rana też Szkoła żyje w podniosłym nastroju.

Stara Szkoła, nieraz już widziała jak po dwóch latach pobytu w jej gościnnych murach, wychodzą młodzi oficerowie, jej oficerowie, do wszystkich pułków kawalerji. Ale dziś naprawdę się cieszy, stare mury poczerwieniały jeszcze bardziej w blaskach jesiennego słońca i śmieją się do nas całą duszą. Poczuła stara szkoła (trochę ma pruską fizjonomję, ale nadrabia to typowo sarmackim fasonem. Godz. 7 Dywizjon zebrany na „Saharze” (plac ćwiczeń) frontem do koszar. Rzędy końskie, buty, pasy i ostrogi wyczyszczone idealnie, lśnią zdaleka. Orkiestra gra marsza 1-go pułku ułanów krechowieckich. Nasz dowódca szwadronu rtm. Szumski zdaje raport komendantowi Szkoły pułk. Litewskiemu. Pułkownik jeszcze raz swym bystrym wzrokiem ogarnął podchorążych i widocznie zadowolony z przeglądu, dał znak do marszu.

Orkiestra gra, konie zlekka „caplują”, czapki na bakier, trzymać fason (publiczność się patrzy — nie masz pana nad ulana). Wjeżdżamy na lotnisko i ustawiamy się frontem do ołtarza polowego, mając po obu stronach bratnie oddziały piechoty i kawalerji garnizonu grudziądzkiego.



Gen. Kwaśniewski wręcza szablę prymusowi



Defilada podchorążych

P. Pułkownik Litewski zdaje raport Komendantowi Centrum Wyszkożenia Kawalerji pułkownikowi Smoleńskiemu. Czekaemy jeszcze pewien czas, goście się tłumnie schodzą, lotnisko się zapełnia. Widzimy znane postacie generałów Grzmot-Skotnickiego, Andersa, Wieniawy-Długoszewskiego, Przewłockiego, pułkownika Podhorskiego i Karcza oraz wielu innych. Wtem fanfarzyści dają znak — nadjeżdża pan generał Kwaśniewski — przedstawiciel Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Pułk. Smoleński zdaje raport panu generałowi z całości.

Teraz odbędzie się uroczystość przekazania sztandaru przez starszy rocznik nam, za chwilę już też starszemu rocznikowi. Sztandar odbiera nowy szef Szkoły podchor. Belina-Prażmowski Zbigniew. Padają krótkie słowa: „Rocznik imienia Szarży pod Rokitną przyjmuje sztandar od rocznika im. Ks. Józefa Poniatowskiego”. Rozpoczyna się msza św.

Po mszy defilada. Najpierw w klusie, a potem w galopie. Właśnie przeszliśmy „rysią” przed trybunami, zakrecaemy i pada komenda „Galopem marsz”. Lotnisko dudni pod kopytami przeszło stu pięćdziesięciu koni. Plutony w rozwiniętych, wyrównane pod sznur. Strzemię przy strzemięniu. Furkoczą proporcezki, orkiestra gra, i w duszach nam też coś gra radośnie. Biją serca tam na trybunach. Biją serca najmłodszego rocznika. I oni tak za rok będą defilować. I w nas mocno biją serca. Czujemy się spadkobiercami tych spod Kircholmu, Chocima, Somo-Sierry, Rokitny, Krechowiec, Jazłowca. Mijamy trybuny. Śmieją się do nas oczy generałów, śmieją się oczy gości. Tak, to przecież defiluje polska kawalerja, kwiat jej, podchorążowie. Minęliśmy już trybuny. Dywizjon przechodzi do klusa, a potem do stępa. Stajemy. Starszy rocznik zsiada z konia i ustawia się do promocji. Pierwszym jest szef Szkoły, a jednocześnie prymus, podchorąży Sokołowski Stanisław. Pan generał Kwaśniewski ma przemówienie do promowanych.

Padają krótkie, zwięzłe, prawdziwe żołnierskie słowa. Mówi o dniu tak uroczystym, mówi o Wodzu, „który umarł ciałem, ale żyje duchem w sercach naszych”. Mówi o Wodzu. I naraz myśli nasze i serca zestrzeliły się w jedną potężną myśl, która wybiegła hen! daleko od wawelskiego grodu i legła cicho, z żołnierskim, szczerym hołdem, u stóp kryształowej trumny. Hołd wiernych serc żołnierskich, skutych jedną wolą, służenia ideałom Wielkiego Wodza Narodu. Po przemówieniu następuje promocja. Promowani przyklękają i rycerskim zwyczajem, uderzeniem szabli po ramieniu i pocałunkiem Wodza są pasowani na rycerzy.

Po uroczystości, podporucznicy idą się przebrać w mundury oficerskie. Po chwili wracają. Na zielonym tle lotni-

ska, jak kwiaty, zajaśniały otoki wszystkich pułków kawalerji. Teraz my (starszy rocznik) jeszcze raz defilujemy, w stępie, przed tymi najmłodszymi oficerami polskiej kawalerji. A potem tryumfalny powrót do koszar, gratulacje, uściski i wspólny obiad żołnierski, promowanych ze swymi wychowawcami oraz gośćmi. Dzień minął, lecz pamięć o nim pozostała. Dla nas podchorążych, jest to przecież najpiękniejszym dniem życia, cel naszych marzeń.

Z jeszcze więc większym zapałem bierzemy się do pracy, aby za rok móc, tak jak oni, włożyć z dumą na siebie mundur oficera polskiej kawalerji.

S. P. Kaw.

pchor. R. Gtusi

## KU CHWALE

Dzień 15-tego października Anno Domini 1935. Piękny słoneczny dzień.

Zazwyczaj puste, lub zrzadka upstrzone zielonymi plamkami mundurów dziedzińce Szkoły Podchorążych Artylerji mieniają się barwnym tłumem, w którym choć przeważa brudny kolor khaki, nie brak również wszelkich innych barw tęczy.

Twarze są radosne, ale skupione.

Zwłaszcza twarze matek z trudem wstrzymujących, cisnące się do oczu łzy, łzy chyba najradośniejsze, jakie miały w życiu, bo sprowokowane uczuciem dopięcia istotnego celu: wychowania synów ku chwale Ojczyzny.

Ojcowie są dostojni i z dumą na marsowych czołach, patrzą w oczy wszystkich, chcąc w nich wyczytać podziw i uznanie dla siebie i dla nich.

Jest dużo młodych pań, podobno siostry i kuzynki, zresztą rozstrząsanie ich stosunku do panów podporuczników — za pięć minut — niema racji bytu. W każdym razie tworzą tę barwniejsze i żywsze plamki na tle nudnej zieleni mundurów.

Są jeszcze goście, z którymi nie łączą nikogo węzły pokrewieństwa, ale którzy mimo to są otoczeni najliczniejszymi grupkami. Dowódcy pułków. Dowódcy wszystkich pułków artylerji.

Tego rodzaju powiedzenie, jak: „Nie przeszkadzaj, muszę przywitać się z moim dowódcą”, o ile są zrozumiałe w ustach absolwentów, o tyle wywołują przynajmniej zdziwienie, jeżeli pochodzą od podchorążych starszego rocznika. Przecież znają się zaledwie z dwóch, czy trzech spotkań, mających zazwyczaj charakter nader służbowy, a jednak robi się wszystko, by „swój” dowódca pułku miał wy-



„Mianuję Was podporucznikiem”.



Przekazanie sztandaru Szkoły młodszemu rocznikowi.

godne łóżko i nie potrzebował zastanawiać się, ani myśleć o niczem.

Panów absolwentów nie widać; prawdopodobnie po raz ostatni przymierzają bardzo nowe mundury.

Zato starszy rocznik z godną podziwu szybkością i bystrością umysłu objął zaszczytne funkcje gospodarzy i swoją postawą, oraz zachowaniem podkreśla, że jednak mimo wszystko jest panem na swoich śmieciach.

Najmłodsi koledzy jeszcze nie zdążyli się zaaklimatyzować i oswoić z widokiem przyszłych wychowawców i panów pięciu wolnych minut czasu, dlatego jest trochę osobliwie i zalekniony. Może przyczyną tego jest to, że dla zaakcentowania swojej z nami solidarności i zrozumienia znaczenia chwili odstąpili swoje łóżka gościom, sami kontentując się tylko takim kawalkiem pośłania, jaki jest konieczny dla złożenia głowy — nie wiem.

Nasze wspaniałe „Paccardy” i „Ursusy” pożerają czas i kilometry, obracając niezliczoną ilość razy z dworca do Szkoły i spowrotem. Są przeładowane i choć wspomagane ekwipażami konnymi nie mogą podolać zadaniu przewiezienia gości, zdążających cały dzień pociągami ze wszystkich stron Polski.

Powoli przychodzą wszyscy na dziedzińce przed gmachem sal wykładowych z kurtuazją i uszanowaniem wszelkich konwenansów, zajmując miejsce w pierwszych rzędach. Dwie ogromne ośmiociałki rosyjskie patrzą się w niebo, kładąc długie, czarne cienie na złotawy, lśniący w słońcu piasek. Na ścianie płaskorzeźba: pułkownik baron de Weydenthal, najpiękniejsza i najwięcej umiłowana przez podchorążych postać bohatera, noszącego zielone patki na mundurze.

Słychać zbliżające się mocne i twarde, ale elastyczne kroki. Skrzą się srebrne guziki i słońce na pochwach szabli. Długie rzędy czwórek, cztery nad wiek poważnych ludzi; trzy pokolenia artyleryjskie, które w rocznych odstępach, jak wrząca, młoda krew wleją się w żyły naszej armji.

Ci, którzy przestali od niedawna liczyć dni, dzielące ich od chwili ozdobienia naramienników pierwszą gwiazdką,

a liczą już tylko minuty, są najwięcej skupieni. Jest bowiem chwila, gdy człowiek w całej pełni rozumie ogrom obowiązków spadających na jego barki; jest chwila, gdy z przeraźliwą jasnością widzi się, że Ojczyzna czeka i domaga się każdego poświęcenia, każdej ofiary, chwila, gdy w oczach każdego przechodnia, na marmurowych maskach pomników, na ramionach spróchniałych krzyżów, drzemiących nad mogiłami, w których prócz kości jest zawsze kilka gramów ołowiu, czyta się jedno słowo: obowiązek; gdy krew w żyłach krzepnie, nerwy drżą, jak struny pod palcami wirtuoza, a całe jestestwo kondensuje się w jednym pojęciu: przysięgam! — to właśnie ta chwila.

Za parę godzin będziecie znowu roześmiani, radośni i pewni siebie, teraz musicie być takimi, jakimi byli wasi przaszczurowie, gdy uderzano ich miecze przy słowach: pasuję cię na rycerza — potężni, mocni, nieugięci, nie ludzie — lecz epoka, nie słowa i myśli — lecz czyn.

Karne, sprzężone szeregi drgają złotymi płomykami, paląciami się na ostrzach szabel.

Przez zwarte postacie widzów przechodzi cichy szmer, zbierający momentami do półgłosego rozgwaru wrzuczenia.

Komendant Szkoły Podchorążych Artylerji, pan pułkownik Gnoiński zdaje raport Panu Generałowi Rómmelowi, który swą obecnością nadaje całej uroczystości charakter, różniący ją od wszelkich innych zamkniętych w ramach Szkoły.

Następuje odczytanie lokat.

Zresztą jest to czynność pro forma, bo każdy z absolwentów zna swoją lokatę już od paru miesięcy.

Szeregi łamią się, przesuwają, zmieniają się znowu w długi wąż czwórek i znikają za trzypiętrowym pionem krawędzi ściany. Plac pustoszeje. Zostały tylko dwa rzędy karabinów ustawionych w kozły.

Ujeżdżalnia, w języku stałych bywalców zwana po prostu „dużą” zmieniona została w przeciągu paru dni, rękami naszych artystów-dekoratorów w cichą i pełną majestatycznej, kościelnej powagi kaplicę.

Na tle czerwono-śnieżnej draperji, ogromnego sztandaru spływającego łagodnymi falami od sufitu do samej ziemi, skromny, połowy ołtarz, więcej przemawiający do sere i dusz swą żołnierską prostotą niż najbogatsze i najwyszukańsze pomysły sztuki zdobniczej — przepychem.

Po obu stronach ołtarza niby ciemno zielone świeczniki, strzeliste sylwetki podchorążych w historycznych mundurach. Piersi przekreślone białymi krzyżami pasów, na wysokich czakach chwieją się kity, a wysoko nad głowami, na ścianach srebrne litery S. P.



Absolwenci defilują

fol. Dobromirski

Przy dźwiękach orkiestry Jego Eminencja ks. Biskup Gawlina odprawia Mszę Św.

Jest bardzo cicho. Tak cicho, że akordy instrumentów tłuką się pod sufitem, jak gdyby sala była zupełnie pusta. To chyba jedno z najzarliwszych i najszczerzych nabożeństw, w którym tu zebrani może pierwszy raz i może ostatni modlą się sercami samymi, a nie jak często samymi ustami.

Słowa księdza kapelana Bombasa, który ukazał się na kazalnicy, wpadają w rytm myśli i tętno bijącej w skroniach krwi, ale z każdą chwilą nabierają na sile, tracą błyskotliwe efekty, łączą się jedne z drugimi w grzmiący akord. Mówi żołnierz.

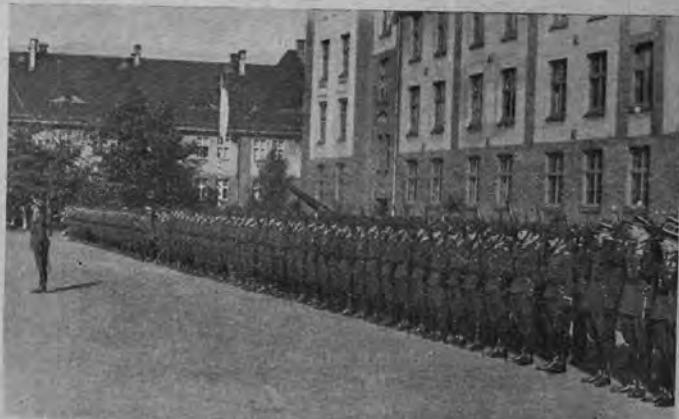
Zamyślona jest większość twarzy wynurzających się z drzwi kaplicy. Słowa padały na urodzajną glebę.

Na miejscu martwych kozłów z karabinów zastępy znowu szeregi zielonych mundurów.

Komendant Szkoły zwraca się w kilku gorących, żołnierskich słowach do zebranych, potem odczytuje rozkaz nominacyjny.

Podchorążowie sformowani w sześć plutonów defilują przy dźwiękach marsza Szkoły, dziś po raz pierwszy granego. Defiladę odbiera Pan Generał Rómmel. Obok niego stoi Pan Generał Miller, Komendant Centrum Wyszkożenia Artylerji, generał Thommé, generał Prich, a dalej dzwonią długie szeregi krzyży i odznaczeń na piersiach dowódców pułków artyleryjskich i oficerów, którzy bądź służbowo, bądź prywatnie przybyli dzisiejszego dnia do Torunia.

Ostatnia defilada absolwentów w mundurach podchorążych. Za kilkanaście minut na ich miejscu stanie stu czterdziestu podporuczników.



Raport

fol. Dobromirski

Chwilowo jest pusto. Tu i tam małe grupki, rozprawy głośno, lub pojedyncze sylwetki nerwowymi krokami mierzące dziedziniec. Jedna wspólna cecha charakteryzuje wszystkich. Rzucają gorączkowe spojrzenia na zmianę, raz na tarcze zegarków, raz na drzwi hali gimnastycznej, w której odbywa się już nie ewolucyjny a rewolucyjny proces metamorfozy.

Po kwadransie na horyzoncie ukazuje się pierwszy podporucznik. Uśmiecha się trochę niepewnie, w pierwszej chwili sprawia wrażenie nieco zażenowanego, ale naraz jakby tknięty prądem elektrycznym wyprostowuje się, przybiera srogi wyraz twarzy i idzie sprężystym, pewnym krokiem. Muszę przyznać: że w nowym mundurze wygląda wspaniale, a sądząc po zachowaniu się gości, podzielają moje zdanie; jednym słowem, wszystkim serca rosną.

Pierwszy reprezentant z każdą chwilą traci na popu-

larności, bowiem na widowni ukazują się coraz nowe sylwetki, jedna zgrabniejsza od drugiej.

Największy podziw wnoszą przedstawiciele 22-ego pułku w długich pelerynach i góralskich kapeluszach z piórkami. Niemniej dziarską postawą odznaczają się panowie podporucznicy z czarno-czerwonymi proporczykami; są najwięcej pewni siebie.

Kilkunastu panów bez ostróg, z kordzikami przy boku wzbudzają u podchorążych raczej sympatję, aniżeli podziw — w Szkole wytwarza się taki kult dla konia, że myśl o ewentualnym z nim rozstaniu się, jest z założenia odrzucona.

Największym zainteresowaniem cieszy się paru „baloniarzy”, dzięki złotym otokom rażącym na tle jednostajnej, spokojnej zieleni.

W ujeżdżalni zmienionej już z godnym podziwu pośpiechem z kaplicy w salę nominacyjną. Komendant Szkoły



Władze i Goście na promocji w S.P.Art. w Toruniu

fol. Dobromirski

otwiera właściwą uroczystość wręczenia dyplomów, żegnając paroma ostatnimi wskazówkami absolwentów. Okrzyk Jego wzniesiony ku czci Pana Prezydenta podejmują obecni; w rękach podporuczników płoną wzniesione w niebo szable: orkiestra gra hymn narodowy. Następnie Pan Generał Rómmel w kilku słowach zwraca się do nowopromowanych podporuczników podkreślając znaczenie artylerji, która jako broń stała się nie tylko niedozowną, ale decydującą o wyniku wojny, a charakterem swej pracy kształtuje oficerów na jednych z najlepszych żołnierzy.

Podporucznik Andrzej Malewski prymus 12-tej promocji Szkoły Podchorążych Artylerji, klęka przed Panem Generałem i otrzymuje z jego rąk szablę Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Komendant Szkoły, serdecznym pocałunkiem dziękuje prymusowi za pracę jaką położył nad wychowywaniem swych młodszych kolegów, będąc szefem drugiej baterji szkolnej, za pracę nad utrzymaniem i ujęciem w realne ramy pięknej tradycji.

Na marmurowej tablicy przybyło złotogłoskowe dwunaste nazwisko ku chwale ojczyzny.

Jeden po drugim podchodzą podporucznicy do Pana Generała, dziękując za położoną nad nimi pracę, odbierają z rąk Komendanta Szkoły dyplomy, potem meldują się u komendanta Centrum Wyszkożenia Artylerji i Szefa Departamentu Artylerji Pana Pułkownika Cehaka.

Następnie Komendant Szkoły dekoruje odznaką Szkoły kilkunastu oficerów wykładowców i wychowawców szkolnych, poczem stwierdzając łączność istniejącą między Szkołą a pułkami, stałą, wyteżoną współpracę nad potęgą ojczyzny dekoruje dowódców wszystkich pułków artylerji.



Młodszy rocznik idzie

fol. Dobromirski

Szkoła otrzymuje również odznaki honorowe pułków, a najpiękniejszym i najsympatyczniejszym momentem dla nas jest chwila, gdy Komendant Szkoły składa w nasze ręce trąbkę ofiarowaną przez 13 dywizjonów artylerji konnej.

Cały dzień trąbka była tematem długich i gorących dyskusyj, a artylerja konna zyskała fanatycznych zwolenników nawet w osobach kandydatów do artylerji najcięższej.

Co było potem dokładnie nie wiem, bo w myśl tradycji oba roczniki zostały zamknięte na słowo w budynku sal sypialnych, a panowie podporucznicy otoczeni wianuszkami gości udali się na tradycyjną lampkę wina. Mówiono, że Pan Generał Rómmel zaprosił wszystkich dekowców na drugą lampkę, a co do pojemności ich obu chodziły różne wersje, w każdym razie nie było już mowy o lampce, a tylko o lampie.

Dwunasta promocja w Szkole Podchorążych Artylerji odbyła się.

Ku chwale Ojczyzny i całej artylerji polskiej!

Toruń SP Art.

pechor. Z. Zajęzkiewicz

## LISTY Z KIELC

(Pech... Wyimki ze zjazdu redaktorów... Refleksje osobiste... Moja pierwsza operacja... Czerwony Krzyż...)

Przedewszystkiem przeproszam czytelników, że poniżej i na przyszłość dość dużo zmuszony będę pisać o sobie. Jest to jednak do pewnego stopnia nieublagana, że tak powiem, konieczność, ponieważ zawiera jednocześnie usprawiedliwienie, a raczej — wyjaśnienie — naszego spóźnionego „zaistnienia“ (darujcie ten termin fachowo-prawniczy) na rozrastających się co dnia z młodzieńczą energią i prawdziwie wojennym „parciem wpród“ łamach „Podchorążego“. A co poza tem?... Pozatem modnym jest obecnie pisanie w pierwszej osobie; wystarczy wymienić słynne feljetony dużo starszego kolegi po piórze p. Zygmunta Nowakowskiego. Niewątpliwie bowiem ten sposób, dając szczególny posmak realnej rzeczywistości opowiadanej narracji, zbliża do czytelnika.

Ale — ad rem i prosto z mostu. Od początku służby w wojsku „prześladuje“ mnie ów filuterny pech, znany nam wszystkim dobrze z ław gimnazjalnych czy uniwersyteckich. Wierzę jednak mocno — o! bardzo mocno — że i pech wyjdzie mi na dobre. Znane a proste, lecz jakże głębokie, przysłowie niedwuznacznie mówi, że — niema tego złego, coby



na dobre nie wyszło. Z drugiej znów strony w czytanej niedawno powieści Szpyrkówny znalazłem mądre zdanie, że nigdy nie trzeba niczego bardzo (powiedziałbym—zabardzo) chcieć, bo rzeczy te — najbardziej upragnione, wychodzą nam często na złe. A ja tak przecież paliłem się do wojska (ach! te wynurzenia — pomyślą czytelnicy). Inde ira. Stąd geneza „pecha“.

Przekorność i wyrafowana złośliwość tego stworzenia poszła tak daleko, że nawet pierwsza korespondencja z kieleckiej „Podchorążówki“, redagowana skromnie przez piszącego te słowa, podobno w papierach redakcyjnych czy pocztowych zaginęła. Wam wszystkim zaś niezwykle zależało na jej jaknajwcześniejszym wydrukowaniu. Zrozumiałe są bowiem powody. Ogólna cecha każdego zbiorowiska: lokalny patriotyzm poprostu. Trzeba jednak się zgodzić, że i Redakcja też ma swoje cele i plany, taktykę i strategię, które wskazują, by postępowała tak, a nie inaczej. Bądźmy jednak dobrej myśli, wierząc niezłomnie, że Warszawa odnajdzie nasze elaboraty publicystyczne i kronikarskie, dając nam prawdziwie rzetelną satysfakcję.

Tak wyczułem z rozmowy z sympatycznym kol. Sekretarzem na sobotnim zjeździe czy odprawie redaktorów-korespondentów. Chodzi mi zaś przedewszystkiem o ten właśnie ostatni. Nie będzie to ukłonem kurtuazji dla Redakcji, ale spełnieniem obowiązku, jeżeli pro publico bono uroczyste czarne na białym złożę jej szczerze podziękowanie. Miła atmosfera, wzajemne zrozumienie, serdeczność odnoszenia się — oto niektóre z licznych cech zjazdu. Niewątpliwie szerokie sprawozdanie odzwierciedla znacznie lepiej wszystko, co nam dał zjazd, i dlatego, nie chcąc się wtrącać tam, gdzie nie należy, ograniczę się do wykrzyknika, takich zjazdów jak-najwięcej!

Równie ważne — przynajmniej praktycznie — były rozmowy, prowadzone przez delegatów w kularach kasyna na Piękiej, gdzie zjazd się odbywał. Wypytywaliśmy się wzajemnie o najdrobniejsze szczegóły życia wojskowego. Nieliczni byli ci, którzy własne Podchorążówki idealizowali. Zasadniczo każdemu wydawało się najlepiej wszędzie, ale — nie u siebie, wyjąwszy wypadki sporadyczne.

Takie zdania są warte napiętnowania, którego dokona zacytowanie aforyzmu: „wszędzie dobrze, gdzie nas niema“ i „cudze chwalicie, swego...“.

Poczęści ze zjazdem, o ile chodzi o refleksje subiektywne, wiąże mi się żywo w pamięci wypadek, który ze względu na ogólne wartości winien być zanotowany dla zwrócenia nań żołnierskiej uwagi. Zjawiska w nim uwidocznione, mają dużą doniosłość i wiele im należałoby poświęcać uwagi w piśmiennictwie. Jest to zaś słów kilka o Czerwonym Krzyżu i... siostrach miłosierdzia.



Typowa niedzielna atrakcja: „piękna“ grupa

szego lokalnego Waltera). Czystość nieskazitelna (nawet „sam“ p. kapral S., mój drużynowy, a pies na kurz—żadnego pyłku by nie znalazł). Podłoga—jak na pierwszorzędnym dancingu (w cywilu zdziwionoby się takim porównaniem, ale w wojsku nie można nawet rzeczy smutnych traktować — nie z humorem). Na środku sali wysokopienny cyprys wnosi urok spokoju, ciszy i zupełnego zrozumienia.

Telefony między salami operacyjnymi stale w ruchu. Sympatyczne siostry miłosierdzia skrzętnie doglądają, by w misternym porządku i precyzyjnej dokładności każda operacja była przygotowana...

— Prawda, że nie boli—pyta mnie, syczącego z bólu,—siostra — Hanka, zdaje się.

Ona, lekarz-chirurg i asystent. Tych troje, niosących ukojenie cierpiącym, ludzi idei i szczytnego posłannictwa, niesienia doraźnej pomocy, leczenia ran i chorób, z zaparciem siebie oddalających kosę śmierci od żywych niekiedy już trupów, — nie zapomnę.

— A jednak nie bolało — prawda, proszę pana — znów słyse słodki głos, ten sam, którym mówiła do mnie moja maleńka Duśka, gdy odjeżdżałem — ...a może to ona jeszcze i tam mówiła?...

Lodowo-zimne znieczulenie mało pomogło. Ostrych cięć nie mogłem niekiedy znieść. Rubinowa czerwień żywej krwi spływała obficie po ramionach...

Humor musi być wszędzie — mówią nam stale w wojsku i zaraz, jakoby dotykałnie, bo fizycznie, o tem się przekonałem. Wiedzą też o tem lekarze—wytrawni psychologowie. Często zrecznie opowiedziany w najboleśniejszym momencie dowcip znieczula bardziej, niż najprzemysłniejsze lecum.

Zaciskam zęby z dojmującego bólu. Widzi lekarz, jak w pozycji siedzącej (lecz — nie dla wyrzucenia odbezpieczonego granatu ćwiczebnego) szukam rękoma oparcia i punktu zaczepienia. Zniennacka otrzymuję niezwykłą radę, jeśli się

Otrzymałem rozkaz wyjazdu na odprawę korespondentów. To nic, że jestem chory. Rozkaz — rozkazem. Trzeba jechać, bo — „szkoda gadać“. Z obandażowanym karkiem zjawiłem się po półdnie w salę zjazdu.

Wieczorem — po zakończeniu obrad udałem się wprost do szpitala. Ledwo już bowiem trzymałem się na nogach (zjazd odbywał się bez krzty alkoholu — słowo honoru — nawet dobrych ciastek nie było prócz iluzji dowcipnego słowa i odmierzanych powściągliwie komplementów).

Szpital św. Ducha. Kliniki Uniwersytecka. Oddział Chirurgiczny.

Zanim zrecznie prowadzony lancet chirurga znalazł się na moim nieszczęsnym karku, miałem możliwość, oczekując na lekarza, ocenić wielkie poświęcenie i pracę aniołów szpitala. Dwa rzędy symetrycznie ustawionych łóżek (oby u nas w kompanji tak było—ku ucie-sze miłego st. sierż. T., na-

zważy, że siostrę Hankę mieliśmy (asystent lekarza i ja, a może i ona sama—również siebie? O przysięgłbym, że napewno—tak!) na myśli:

— Proszę chwycić za kolanka!—mówi lekarz.

Małe zakłopotanie. Delikatne policzki siostry zapłonione.

Nim jednak zdążyłem „rozkaz“ (zgodziłbym się, żeby nim był) wykonać, usłyszeliśmy wyzwajające sprostowanie:

— Ale nie siostry, a — za swoje!...

Ładny punkt zaczepienia, jeżeli już nie — „podstawa wyjściowa“ — pomyślałem.

Zaś asystent, gdy już ubierałem się:

— No, zdał pan egzamin na żołnierza! — rzekł tylko na pożegnanie, nie wiedząc prawdopodobnie, że słowa te przyniosły mi prawdziwą radość.

Po szczęśliwie, jak się to mówi czy pisze w depeszach sprawozdawczych, przeprowadzonej operacji siostra poszła na... randkę, jak z warszawska wymawiała wyraz, oznaczający coś, co dla mnie — w bandażu po czubek nosa — było nie do osiągnięcia, choć znów witała mnie ukochana z czasów uniwersyteckich Warszawka.

Lekarz z asystentem znikli. Po półgodzinnych poszukiwaniach przez gońców, telefony i t. p. dowiedziałem się, że — już są na innej sali operacyjnej. Czekalem długo. Zjawił się nareszcie „mój“ chirurg dr. Tomaszewski.

Uklon żołnierski i proste podziękowanie (dr. T.—przesyłał je powtórnie, przepraszając za sfingowanie wątku dla nadania „wojennego“ patosu). W ukłonie starałem się zaś jaknajdokładniej wyrazić ową przeogromną wdzięczność, jaką czują wszyscy chorzy dla — białą przystrojonych rycerek i rycerzy z pod znaku Czerwonego Krzyża.

Z. Ł.

## PIERWSZE 20 KILOMETRÓW

Marsz 20-kilometrowy w pełnym rynsztunku—to pierwsze uderzenie tępych obuchem w ciemię rekruta z rekruta z cenzusem, w zaraniu nowego odcinka jego życia—w zaraniu służby wojskowej. Jakżeż to jest możliwem, by do niedawna jeszcze — elegancki pan z towarzysza — uzbrojony w saperkę i manierkę, swemi delikatnymi nożętami, odmierzając taki szmat ziemi. Jakżeż to jest możliwem, by w chłodny, październikowy poranek — pędził od słupka do słupka, licząc białe przydrożne kamienie — licząc krople potu spływające mu po twarzy.

Pobudka - pobudka — wstać! Oto najprzykrejsze słowa, tak często słyszane—właśnie w chwili, gdy tak bardzo nie chce się ich słyszeć, a tak strasznie boleśnie upadające na oczy, zamknięte, snu spragnione. — Jeszcze nie zdążyły się otworzyć, a już ręce i nogi automatycznie wykonują ruchy, zmierzające do odrzucenia koca i zeskokcenia z łóżka.

Zaczyna się nowy dzień, nowe życie.

Ruch i pośpiech bez-

sprzecznie panują na sali. Prawie że gołe cielska rekruckie, pokrywają się szarym mundurem z błyskawiczną szybkością — tworząc z nagusa w krynolinie — żołnierza twardego i zbrojnego.

Gimnastyka, modlitwa i śniadanie to pierwsze wydarzenie dnia. Część z nich to przykry obowiązek — to ostatnie zaś tworzy moment najjaśniejszy naszego życia. Pół bochenka chleba i kilka szklaneczek kawy znika w wnętrzu człowieka z większym pośpiechem, aniżeli skok wykonany do następnej dziury w terenie podczas natarcia. Jeszcze parę chwil a już obciążeni wewnątrz i zewnątrz stoimy między drzewami na placu ćwiczeń. Prezentujemy broń i słowami „Czołem Panie Kapitanie“ witamy swego ojca — a zarazem i Wodza.

Marsz rozpoczęty.

Na razie z ochotą, z młodzieńczą werwą i z pieśnią na ustach mknie dziarskim krokiem, wyrównując „kocie łebki“ w kierunku Grodna. Pieśń za pieśnią, jak burza przewala się długi szereg kompanji. Stalowe ćwieki wystukują rytm akompanując słowom piosenki żołnierskiej. Pieśń, jak my młoda, dziarska i potężna leci ulicą, porywa serca mieszkających budzi uczucie siły i potęgi. Pieśń żołnierska zmienna jak całe życie ludzkie, łączy początek kompanji z końcem, jeden pluton z drugim, brata krakowianina z wilanianinem — grodnianina z warszawiakiem. Jedna pieśń, jedno serce i armja polska.

Idziemy.

Mijamy miasto w całej jego szerokości—mijamy domy świadków ostatnich wyczynów bojowych młodego żołnierza polskiego. Mijamy ludzi; naszych ojców, i nasze matki, siostry i braci—naszych rodaków.

Oczy ich pełne serdeczności, podrywają nas do czynu, do wiecznej służby Ojczyzny.

Długie piechurskie kroki zostawiają świat za sobą — zostawiły miasto, i oto maszerujemy już szosą 1-ej klasy szosą augustowską.

Pieśni cichną.

Z czoła na twarz splywa jedna, druga, trzecia, dziesiąta kropla potu, a wraz z nią splywa i myśl z górnych, podniebnych lotów na ziemskie padole, przeistacza się w wilgotną i nie bardzo przyjemną rzeczywistość. Te krople potu wylane tam na Rumlówce, jak i tu na szosie augustowskiej, to przecież chwała Ojczyzny, to zarodek siły państwowej, to jedyny dar nasz jaki możemy oddać Jej w chwili obecnej. Idziemy więc dalej, znacząc swój pochód gwoździami lśniącymi. Kilometr za kilometrem zostaje za nami. Przed nami cały świat. Bo piechur trafi wszędzie.

I oto znowu widzimy wieże drogiego nam miasta, widzimy domy, okolone zielenią lasów, łąk i pól. Wchodzimy weń z uśmiechem triumfu na ustach, wchodzimy jak zawsze, jak przystało na żołnierza polskiego! Wchodzimy z pieśnią na ustach.



W marszu

20 km przebyte! Oto słowa, których tak bardzo wszyscy niedawno—bo parę zaledwie godzin temu—baliśmy się.

Pierwszy nasz większy wysiłek dokonany!

Wróciliśmy i zapoczątkowaliśmy nowy okres naszego życia, którego symbolem słupki kilometrowe, przydrożne i krańce świata.

Strzelec z cenzusem *Poradzisz.*

Grodno.

## MÓJ NOCNY MARSZ

Mówią, że po odbyciu służby wojskowej niema się żadnych niespodzianek — wszystkie możliwe los gotuje podczas pełnienia służby. Zaczynam powoli wierzyć w słuszność tego powiedzenia, a przeżycia ostatnich dni utrzymują mnie w tem mniemaniu.

Pewnego czwartku rzucam okiem na program zajęć. Piątek rano: marsz 20 km. Po apelu rozmowy toczą się przeważnie na temat tego marszu. Byli i zapobiegliwi — wysmarowali tłuszczeniem buty, wyprali onuce, naszykowali wyżerę i już zgóry przewidzieli, w jaki sposób opatrzą swoje cenne stopy. Każdy z nas ma odświętnie umyte nogi. Mycie nóg, to zabieg chirurgiczny godny widzenia. Oto przepis: kładzie się nogę pod kran i delikatnie skrapia kilkoma kroplami zimnej wody. W chwili zetknięcia się wody z ciałem rozlega się rozkoszny okrzyk. Noga szybko umyka spod tuszu jak po oparzeniu, a właściciel wycierając ją, dumnie spogląda na przypatrujących się tej operacji kolegów.

Cisza na sali. Powoli wszyscy usypiają twardym snem. Jest zacisznie i przytulnie. Ciepko i owszem. Przeciągów niema, powietrze widocznie wstydzi się wejść. Zasypiam i ja, kołysany melodyjnym chrapaniem sąsiadów. Śni mi się coś niesamowicie pięknego. Prowadzę jako instruktor ćwiczenia wstępne do walki bagnetem z obecnym instruktorem. Daję komendę: głęboki przysiad — rozpychanie kolan i przez kilka minut poprawiam nieprawidłową pozycję. Marzenia ściętej głowy. Obraz się zmienia. Oto własnego drużynowego podałem do raportu karnego za brudny karabin i już mam być niemym świadkiem jego interesującej rozmowy z władzą naszych dusz, gdy w tem przemocą wciska mi się w mózg jedno słowo, które rychło powoduje otrzeźwienie.



Alarm!

Skok z łóżka i napół senny zaczynam się ubierać jak lunatyk. Wdziewam buty i w tej chwili stwierdzam, że jeszcze nie naciągnąłem nogawek spodni. O zgrozo. Kilka chwil cennego czasu poszło na marne. Za chwilę druga tragedia — nieszczęsne owijacze. Naturalnie prawym okręcam lewą nogę. Ciche łagodne przekleństwo towarzyszy stwierdzeniu tego faktu. Dalej jakoś obeszło się bez dysonansów. Płaszcz, tornister, k. b. k. i na plac zbiórki. Nie pierwszy, ale i nie ostatni.

Byliśmy pewni, że chodzi o zwykłe sprawdzenie naszej sprawności. Tymczasem mała niespodzianka. Po raporcie wyruszamy i już w następnych minutach każdy z nas wie, że zaczął przewidziany program marsz. (O nieszczęsny losie „posiłków”, które w pośpiechu pozostawiono w szafce).

Tło jakby wycięte z teatralnej dekoracji. Noc piękna, nabita gwiazdami gwiazd jak buty I-szej grupy (metafora stosowana). Jednak już po pierwszych kilkuset metrach błotnista droga zmusza mnie do zupełnie przyziemnych myśli. Jakaś większa kałuża, której nie zauważyłem, zostawia po sobie wspomnienie. Do lewego buta nalało się trochę wody. Co za miłe uczucie, gdy noga zaczyna się rozkosznie pluskać, jak małe dziecko, a ucho drażni łagodny chłopot. Ale zato prawy but jest bardzo fajny. Suchutki, wygodny, wogóle bardzo sympatyczny bucik — bardzo go lubię.

Po 30 minutach pierwszy odpoczynek i dalej w drogę. Poznajemy praktycznie ociekające błotem „urocze” wiejskie drożyny, przechodzimy przez uśpione osiedla, zdaleka witani szczekaniem psów. Zaczynają się sypać dowcipy ściśle sytuacyjne i pierwsze wybuchy śmiechu towarzyszące licznym upadkom na śliskim gruncie. W pewnej chwili czuję, że coś mi się nadprogramowo majta koło buta. Owijacz się rozkręcił i nasycony błotem wije się jak wąż. Daję k. b. k. koledze, zawijam go na „odtrąbiono” i zaczynam bieg na swoje miejsce, mnąc w ustach brzydkie słowa, których żaden papier nie przyjmie na swoje białe łono.

Odpoczynek drugi i trzeci — dobijamy do szosy, która od godziny lada chwila ma się wyłonić z mgły. Zaczynam odczuwać zmęczenie. Po drodze potykam się o coś wystającego. To jeden z tych, którzy nie wytrzymali tempa marszu słabym głosem prosi o dobiecie. Przez głowę przelatują słowa z pogadanek: „Żołnierz jest pogodny i wesoły w każdej sytuacji”. Chwileczka. Już pękam ze śmiechu. Ale długo można się śmiać, kiedy coraz to bardziej rozmokła glina, coraz to więcej trzeba wysiłku, ażeby nie zostać w tyle. Komuś zebrało się na dowcip. Krzyczy: „Mapa się skończyła, idziemy po ramce”. Nagle z mroku wyłaniają się zarysy słupów telegraficznych. Szosa. Westchnienie ulgi przepłynęło przez szeregi radosną falą.

W jednej chwili przysło zmęczenie i wrócił humor. Poprzez opary mgły sączył się powoli świt. Wdali widniały światła miasta coraz to bardziej anemiczne w miarę posuwania się naprzód. Łatwo utrzymać równy krok — kompanja śpiewa: „Bije mama, bije mama, bije „me”. Nogi się rozchodzą i niosą same. Tuż przed miastem postój — to nowa niespodzianka, ale jakże przyjemna. Kuchnia jedzie. Nie sprzecaliśmy się długo o to czy dano nam kawę czy kakao, ale każdy z nas z przyjemnością łykał gorący płyn.

Po powrocie do koszar znowu niespodzianka — nadprogramowe spanie. Tym razem alarmu nie było.

Tomaszów Lub.

Leg. z cenz. *T. Darocha*

## ŚPIEWACZE DEBIUTY

Było to tak. Drugiego dnia po przybyciu zaprowadzono całą kompanję świeżo upieczonego wojska na łączkę opodal twierdzy i rozpoczęto pierwszy wykład z nauki o śpiewie. Ustawiono nas w dwuszerę i zagięto skrzydła. Na środek wyszło kilku kaprali i lekko drżącym z tremy głosem zaintonowało jako pierwszy numer „Wiązankę” piosenek żołnierskich.

Rozpoczyna się ta wiązanka epiecznie ujętą strofą o tem jak to przy pianiu koguta i szczekaniu (na vis-à-vis) psa wkroczył do wsi pułk strzelców. Oczekujących w skupieniu na dalszy ciąg tak ciekawie rozpoczętej akcji rozczarowała nieco następna strofka, opiewająca na inną melodję ten sam motyw: „Przybyli, hej, strzelcy pod okienko”. Nastąpiło potem, znowu na inną nutę, kuszenie jakiejś nieznannej bliżej Marysieńki przez strzelca, jak można się domyślać, aby otworzyła okienko. Chciał zobaczyć—powiada—jeszcze raz jej oczęta! Po tem wyznaniu przeniesiono nas nagłym skokiem z powrotem do pierwszej piosenki. Jej druga zwrotka rzuca słowa gorzkiej prawdy pod adresem strzelców, których pułk wkroczył do wsi:

A matka mówiła do córk  
Oj, nie ciesz się, dziewczę, o nie!  
Pójdźmy dziś spać do komórki,  
Bo strzelcy to bestje są złe!

Z przykrego nastroju, wywołanego tą piosenką, wyprowadziła nas następna, przemawiając do nas na znaną melodję „Ułani, ulani” słowami pociechy, nazywając nas dziećmi (malowanemi!) i obiecując nam ogromne powodzenie u niejednej panienki i niejednej wdowy. Już w następnej piosence sprawdza się ta przepowiednia: „Wróć-że się, Jasieńku, będę cię kochała” śpiewa jakaś panienka lub wdowa, „stojąc w okieneczku i wiewając chusteczką”. Na zakończenie „Wiązanki” zaśpiewaliśmy trzy znane i ładne piosenki: „O mój rozmarynie”, „Białe róże” i hymn piechoty „Maszerują strzelcy, maszerują”.

Po wiązance nauczyliśmy się jeszcze słów „Madelon”, pikantnych i subtelnych, które wywołały niezdrowy rumieniec na twarz niejednego z nas. Opisy Madelon (śmigła jak motyla lot; oczy jej są iskier pełne), jej wiele obiecująca dostępność:

Bo Madelon jest dla nas tak łaskawa,  
Ze choć pogłaszczesz lub uszczypniesz ją  
Nie gniewa się, śmiech jej obroną całą,

wszystko to było bardzo silne i sprawiło, że w drodze powrotnej Madelon nie schodziła nam z ust.

Po pierwszych dniach, poświęconych organizacji Kursu, podziałom na plutony, drużyny i t. p. rozpoczęło się życie normalne, systematyczne, zaczęliśmy chodzić na ćwiczenia plutonami (bo kompanja jeszcze nie umieliśmy) zaczęliśmy żyć plutonami i plutonami śpiewać. Mój pluton, jak i inne, zbierał się w przerwach cogodzinnych dokoła swego dowódcy, padała komenda „kierunek niebo, pluton—marsz!” (jedyna chyba w wojsku komenda, której wykonania nie wymaga się od żołnierza), dreptało się w miejscu i śpiewało. Z początku doskonaliliśmy się w repertuarze kompanji, z czasem jednak wytworzył się nasz własny, z którego kilka perełek pozwolę sobie dokładniej zreferować.

W łonie plutonu kryły się talenty w postaci dwóch strzelców z cenzusem, bez których rozległej wiedzy muzycznej nie byłoby naszego repertuaru. Jeden z nich sympatyczny kolega I. wystąpił pewnego dnia na środek plutonowego kregu i, rozumując słusznie, że w propagandzie polskiego morza i naszej młodej marynarki należy się coś i od

kolegów z piechoty, nauczył nas piosenki, wychwalającej życie marynarza i przedstawiającej je w niezmiernie zachęcający sposób: „Wesoła marynarska wiara, szczęśny jej życia los”. Oto początek 3-zwrotkowej pieśni, której refrain brzmi:

Marynarz w noc się bawi,  
w hamaku we dnie śpi i t. d.

Skutek był taki, że wszyscy zaczęli marzyć o służbie w marynarce i gdyby nie wyraźne oświadczenie dowódcy kursu, że przenoszenie się do innych broni jest poza lotnictwem wykluczone, nasz Kurs straciłby rację bytu. Z drugiej strony marynarka ma się nam podobno zrewanżować wprowadzeniem do swego repertuaru pieśni, kończącej się słowami: „Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój piechota, ta szara piechota”.

Kolega I. nauczył nas ładnej i bardzo aktualnej piosenki „Nie damy popradowej fali, Spisza z Orawą, praojców sławą”, oraz pieśni o dziewczynie, co pogubiła wołki na Bukowinie, którą ze względu na smutną treść nazwano marszem żałobnym II plutonu. Drugi ze wspomnianych mistrzów śpiewaczych, kolega M. dał się w jakiś czas potem wypchnąć przez kolegów na środek koła śpiewaków i z bardzo smutną i zażenowaną miną zaintonował wesołą pieśń o tem, że najpiękniejsza to żołnierska brać, że dziewczęta innych nie chcą znać i o innych radujących serca nasze rzeczach.

Od niego też wyszła piosenka, śpiewana przez „Andzię, małą Andziulę”: „Pajaca mam z papieru i ciągle bawię się, pociagam go za sznurek, a pajac śmieje się”. W tem miejscu znajduje się zawsze ktoś, kto wypełnia przerwę między tą zwrotką, a następną demonicznym śmiechem Mefista z Fausta, nielicującym zgoła z następującym autoopisem małej Andzi: „mam oczy czarne, nieco figlarne i humor taki co się zwie”. Ostatnim wreszcie przebojem naszego plutonu, lansowanym również przez kolegę M. jest stare tango „Wypij do dna”, proklamujące zasadę „carpe diem”, którego refrain zawiera wezwanie do picia wina do dna, oraz całowania do krwi, „bo tyle szczęścia, ile dziś”. Jasno i logicznie z tym refrainem wiąże się początek utworu: „Cudne jest życie pirata, drwiny z przesądów i świata”.

Tak to śpiewa drugi pluton, rywalizując ze zmiennym powodzeniem z pozostałymi trzema. Ostatnio chodzimy na ćwiczenia kompanją i kompanją śpiewamy. Największym powodzeniem cieszy się świetna do marszu (i wogóle) „Alphara”. Gorzej jest, gdy każdy pluton na własną rękę zaczyna śpiewać swoje najlubiejsze melodie. Wtedy powstaje w kompanji zamieszanie i zdarza się w takich wypadkach, że nauka śpiewu zażębia o wyszkolenie bojowe. Mam na myśli padanie i czołganie się. Ale zdarza się to coraz rzadziej, śpiewamy coraz lepiej i coraz chętniej i stale powiększamy swój repertuar.

strzelec z cenz. *A. Konarek*

Dęblin-twierdza



## URLOP

Wieżę o urlopie uderzyła w szkołę niby poryw wiatru w las, rozszumiała się po drużynach i rozbliżyła we wszystkich oczach, mimo, że podchorążych oczekiwali jeszcze jeden dzień pracy.

Zaczął się ten dzień słonecznym porankiem. Kompanja maszerowała poza miasto, by na odległym forcie odbyć rzucanie ostre granatami. Nieodłączną piosenka towarzyszyła rytmicznie posuwającym się szeregom. Najgłośniejszą i najbardziej ochotczy śpiewał Władek Nazowski — radość biła z jego twarzy, śmiało się do przechodniów, do słońca, do szafirowego nieba i płynących po nim jasnych obłoków. Wczesnym rankiem otrzymał list, zawierający za ledwie kilka słów, jakże dla niego słonecznych i cennych. Pisała do niego Hanka, ta sama Hanka, którą poznał na pierwszym roku uniwersytetu, o względy której ubiegał się przez sześć lat — i dziś, nareszcie dziś napisała do niego, że spodziewa się, iż w okresie świąt przyjdzie do niej i że zdecydowała się złożyć swój los w jego ręce.

Radość Władka nie zmniejsza się w czasie ćwiczeń, lśniła mu kryształowymi błyskami wody, wyrzucanej wybuchami granatów, jaśniała mu poprzez szybki maski gazowej w powrotnej drodze, kiedy nogi zapadały się po kostki w grząskie, śliskie błoto i rzucały na owijacze i na płaszcz błotniste plamy.

Kilkanaście minut pracy w koszarach wystarczyło, żeby kompanja wyczyszczona i umyta przeżyła się „na baczność” przed swym dowódcą.

Raport ten miał dla wszystkich specjalne znaczenie — dziś bowiem trzy drużyny proszą o udzielenie pierwszego urlopu. Władek w szeregu sprawdza niespokojnie, czy czapka „z fasonem” jest włożona na głowę — w tem przed frontem staje dowódcą — raport zaczęty.

Władkowi wydaje się, że już jedzie, — na skrzydłach myśli pędzi do niej — byle prędzej — do Hanki — budzi go z odrętwienia postać kapitana, stojącego przed nim — Władek przeży się na baczność, salutuje i melduje:

„Panie kapitanie szeregowiec z cenzusem Władysław Nazowski melduje się posłusznie do raportu z prośbą o urlop i włożenie własnego munduru”.

Wtem chóralny śmiech kolegów, przysłuchujących się raportowi huknął o ściany. Jak to, czyż dowódcą nie jest „we własnym” mundurze?, a może dowódcą ma ubrać Władka w jego mundur? — wesołe pytania ze śmiechem nie ustawały przez czas dłuższy.

Żdziwiony i surowy wyraz twarzy kapitana i mina szefa kompanji na temat: już ja cię osobiście — sam ubiorę — odebrały resztki niedawnego animuszu Władka. Raport skończył się.

Wieczorem z niepewną miną stanął Nazowski przed podoficerem służbowym, rozdającym karty urlopowe. Rezygnacja i żal do siebie, z powodu możliwości nieotrzymania urlopu za niepoprawny meldunek, przygnębiły go. Jakąż

była jego radość, kiedy zobaczył swoją kartę urlopową — skoczył potężnym susem w stronę swojej drużyny, coś tam wykrzykiwał na cześć dowódcy, czegoś tam życzył szefowi kompanji — dość, że po niespełna godzinie siedział wtulony w róg przedziału wagonu kolejowego. Miarowy stukot kół, przyćmione światło i zmęczenie po całodziennych trudach kleiły mu oczy, a w dali ukazywała się postać Hanki, wciągająca ku niemu swe ręce.

Tak się jakoś złożyło, że nawet na chwilę nie mogli zostać sami. Władek wpatrywał się w Hankę rozmiłowanym i pełnym szczęścia wzrokiem, ona znów weselała przy każdym zbliżeniu się do niego i posyłała mu z daleka te piękne jej tylko właściwe uśmiechy, które wyróżniały ją oddawna pośród wszystkich koleżanek na uniwersytecie.

Dopiero pod koniec trzeciego dnia urlopu udało się im wybiec razem do ogrodu.

Na zachodzie czerwieniwały blaski kończącego się dnia — po drugiej stronie nieboskłonu świeciły pierwsze gwiazdy na tle ciemniejącego granatu nieba. Władek okrył ją swym płaszczem — szli aleją prosto jaśniejący zachód, pod nogami szumiały im gęsto usłane, opadłe z drzew liście. Pierwsza odezwała się Hanka — głos jej brzmiał przyjaźnie i ciepło — mówiła o ich wspólnej, długoletniej znajomości, o tem, że ceni go, jako szlachetnego i godnego zaufania przyjaciela i nagle nawiązała do swego listu: „Pisałam ci, mówiła, że gotowa jestem złożyć swój los w twoje ręce” — Władka opanował dziwny niepokój, chciał krzyknąć z radości i porwał ją w ramiona, ale coś go przykuwało do ziemi — patrzył w nią dużymi swemi oczami i słuchał.

„W kompanji tej, w której służysz, ciągnęła dalej, znajduje się również Stach Makowski, którego oboje znamy od dzieciństwa. Wiesz chyba o tem, że oświadczył mi się trzy razy, a kiedy ostatni raz mu odmówiłam, wyjechał i odtąd go nie widziałam. Mimo wszystko wiem, że myśli o mnie i wierny jest tej miłości, którą i ja teraz poznałam. Dziś wiem, że szczęśliwa będę tylko ze Stachem i dlatego proszę cię, żebyś mu to wszystko opowiedział, bo wierz mi, że nie mogę mu tego napisać”.

Ujęła Władka za rękę, spojrzała na niego swemi pięknymi oczami i spytała: „Czy mogę na Ciebie liczyć? — „czy pomożesz mi”?

Mimo nadludzkiego wysiłku woli łązy rozpaczy i straconych nadziei stanęły mu w oczach, poprzez ściśnięte bólem gardła wypowiedział jedno słowo: „pomogę”.

Dojrzała te łązy, uściśnęła mu mocno rękę i nie mówiąc słowa odeszła.

Na horyzoncie zaszło słońce, gwiazdy iskrzyły się na niebie, a chłodny wiatr strącał ostatnie liście z drzew.

S. P. Rez. Sanit.

Strz. z cenz. E. Pankiewicz.



Po strzale...

fol. Zajączkiewicz

mu dowodzić nie tylko na paradzie. A tu jak z bicza trzasł. Do pułku... mobilizacja... i na front.

Siadł na konia, poklepał go i puścił się cwałem ścieżką wiodącą wzdłuż stromego terasu rzeki. Koń potykając się, wspinał się na strome wzgórze. Okryty pianą zanurzył się w gęste poszycie lasu. Drogę znał na pamięć. Sennicki lekko zeskokczył z siodła i skierował się do stojącej na skraju polany leśniczówki. W sieni doprawił mundur, zapukał do drzwi i wszedł do słabo oświetlonej izby. Od progu już spostrzegł pochyloną nad mapą siwą głowę dowódcy baterji.

— Aaa! Pan podchorąży! Jesteśmy już wszyscy. — Szare oczy dowódcy objęły jednym rzutem małą izdebkę. Sennicki stanął w rogu, wyprostowany i czujny.

— Proszę do mapy. — Zadzwończy ostrogi, czoło dowódcy przecięła pionowa brzoza.

— Zwołałem tu panów, aby omówić naszą sytuację. Jest ona bardzo poważna na nas ciężą odpowiedzialność za losy całej armji, my osłaniamy jej odwrót. Tu są nasze pozycje, rzeka tworzy w tem miejscu widły. Z drugiej ich strony znajdują się pozycje nieprzyjacielskie. Dla naszego ognia są one dostępne. Ciągający się na horyzoncie grzbiet wzgórz stanowi dla nas zapórę niedopokonania. Nocą musimy zmienić pozycję. Musimy zainscenizować atak. Jeden z panów przeprowadzi się przez rzekę i zajmie to wzgórze odległe o 3 km. od nieprzyjaciela. Z tego stanowiska ogniem należy zniszczyć wieś, w której jak gniazda złośliwych os usadowiły się nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Równocześnie informuję panów, że odwrót z tej pozycji jest odcięty. Piechota nasza wysadza za sobą most.

— Kto z panów podejmie się tej wyprawy?

Zaległa martwa cisza. Jesienny wicher rzucał tylko garściami kropel w okienne szyby. Cisze przerwał Sennicki.

— Ja jestem gotów panie kapitanie!

W oczach starego żołnierza zamigotała błyskawica i zgasła. Wstał, wyciągnął dłoń i tłumiąc wzruszenie, rzekł:

— Tu są dokładne instrukcje. — Sennicki przebiegł je szybko oczyma.

— O zmroku!

— Tak jest, panie kapitanie!

Sennicki wrócił wzruszony na swoje stanowisko ogniowe. Posprawdził stan amunicji i sprzętu. Zajrzał do koni. Kazał dosypać im obroku. Zarządził pogotowie obszedł wszystkie posterunki, wreszcie usiadł na ogonie działa i zamyslił się głęboko...

Zapadał wolno mrok. Ogarniał swą szarzyzną wszystko... pochłaniał. Zasłaniał przed wzrokiem wszystkie wyrwy i wyniosłości. Stępiły się kontury lasu, zlały w jedną plamę z brudno-szarą kopułą nieba i rozmokłą ziemią. Armaty, które o świcie umilkły, milczały i teraz.

Sennicki w jednostajnym plusku deszczu słyszał przyspieszone uderzenia, które odbywały się tłumionem echem.

To ciągnęła piechota.

Naraz niebo rozdarła jasna błyskawica. Zatoczyła świetlistą smugą łuk po sklepieniu, wzbila się wysoko i zgasła.

Wróg bronął się przed ciemnością. Sennicki wstał.

Już czas!

Otrząsnął się z jakichś myśli. Wydał cicho rozkazy.

— Gotowe?

— Gotowe! — Jak echo, ozwało się z mroku.

— Za mną marsz!

Koń Sennickiego lekko chrapiąc, badał śliski grunt. — Klusem!

Działo zaczęło skakać po wypełnionych wodą koleinach.

— Stępem! — Padła cicha komenda. Sennicki poczuł na twarzy chłodny wiew idący z nad rzeki. Wysunął się naprzód, działon swój skierował do brodu. Konie tuląc uszy, nie chciały iść w wodę, przynaglone biciem, zaczęły brnąć, lekko, ostrożnie, węsząc niespokojnie. Woda zaczęła sięgać po osie działa. Sennickim miały obawy, czy czasem nie wybrał złego brodu.

— Nareszcie brzeg! — Odetchnął z ulgą. Począł posuwać się z działonem brzegiem rzeki. Teren wyczuwał intuicyjnie. Wiedział, że jeśli z działonem natrafi na wielkie ziemne leje wyrte pociskami wroga, to przekreśli powodzenie swojej wyprawy. Skręcił i poomacku posuwał się ze swemi ludźmi zboczem wyniosłości.

Z daleka dochodził suchy trzask. „Osie gniazda” zaczęły swą pracę. Sennicki jechał mając ciągle w myśli sytuację określoną na mapie.

— Na wzgórzu w kotlinie...

— To tu.

Zatrzymał działon, wziął w rękę ślepa latarkę i począł badać teren. Nie przypuszczał nigdy, że nogi kiedyś w takiej pracy oddadzą mu przysługę. Przemierzył całą kotlinę. Ustawił wreszcie działo. Na twarzy jego poczęły ukazywać się drapieżne skurcze.

— Do działa! — rzucił komendę.

Coś szybko w pamięci liczył. Koło jaszczka błysnęło

## CZERWONY POCISK

— Rozkaz od dowódcy baterji — meldował zabłocony kanonier.

Podchorąży Sennicki wziął papier do ręki, przeczytał go uważnie, zawinął się w swój długi płaszcz i rzucił.

— Osiodłać mi konia!

Nad szeroką rzeką unosiły się mglane łąchy. Powietrze nasiągnięte wilgocią, jak mokra płachta lepiło się do twarzy.

Mżyło.

Na ilastej glebie potworzyły się bajora. Z mgły dochodził odgłos tłumionych kroków wartownika. Woda zmieszana z błotem uciekała z pod nóg.

Sennicki przejęty był swoją funkcją dowódcy działonu. Po skończeniu szkoły tu na prawdziwej wojnie zdawał swój pierwszy egzamin. Nie przypuszczał, że tak prędko przyjdzie



Artylerzyści nie próżnują...

fol. Dobromirski,

zółte światło, cicho poruszyły się naoliwione zębnie. Zastygła w bezruchu lufa, drgnęła i podniosła się lekko w górę. W ciemnym jej otworze zniknął czerwony pocisk.

— Pall

Ręce obsługi w locie łapały rękojeść zamka i pechały w komorę coraz to nowe naboje. Lufa armaty poczęła pracować, jak tłok rozpędzonej maszyny, jak lew co rzuca się z kłami naprzód, by zachwilę cofnąć się i przysiąść do nowego skoku.

Sennicki patrzył na horyzont. Jednak czarna płachta.

— Czy od naszych pocisków zapalą się mokre strzechy? — Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Naraz usłyszał charakterystyczny świst w odległości 100 metrów od niego żarzył się w ziemię pocisk. W górę wznosił się słup ziemi.

— Odkryli nasze stanowisko! — przemknęło mu przez głowę.

Patrzył jednak obojętnie na padające coraz częściej i bliżej pociski. Jedyną myślą, jedynym pragnieniem był pożar wsi, tam na tyłach wroga.

W jego pobudliwej fantazji, czerwony pocisk własnego działa rósł do rozmiarów olbrzymiej żagwi pożarnej. Zdawało mu się, że na jego stanowisku powstaje słup ognia, który wiatr niesie na słomiane strzechy kryjówek wroga.

Naraz poczuł przeraźliwy ból w ramieniu, w oczach mu pociemniało, zdawało mu się, że zapada się w otchłań. Przed oczyma zajaśniała mu luna pożaru.

Wież się pali, wyszeptał. Mimo wielkiego bólu, cały przejęty był radością. Poczuł jednak coraz dotkliwszy ból, trząsał się cały.

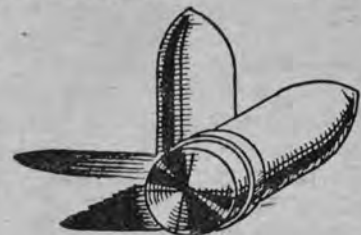
Otworzył oczy i usłyszał:

— Cóż wy Sennicki, chcecie abym wam pobudkę nad uchem na trąbie jerychońskiej zagrał? Staniecie jutro do raportu.

Sennicki wstał, schwył się za zbolałe od uścisku plutonowego ramię i począł się szybko ubierać.

kan. z cenz. W. Keller.

S.P.R.A. Włodzimierz.



## CO CZYTAĆ

Wacław Lipiński. — Szlakiem I Brygady. Wyd. Główn. Księg. Wojsk. Warszawa, 1935 r.

Mjr. Lipiński zyskał już sławę doskonałego historyka odrodzonej armii polskiej. (Jego „Historja walk zbrojnych o niepodległość Polski“, „Historja Z. S.“, „Wojna Polska 1920 r.“) należą do najlepszych prac w tej dziedzinie. O powodzeniu tych dzieł świadczą coraz nowe ich wydania. Obecnie ukazało się trzecie wydanie pamiętnika „Szlakiem I Brygady“. W odróżnieniu od innych dzieł historycznych jest to dziennik żołnierski pisany „z dnia na dzień, natychmiast po marszu, czy bitwie, nieraz pisany wprost w okopie“. — Obejmuje on okres od 26 lipca 1934 — od początku wojny europejskiej do uwieszenia Komendanta w Magdeburgu w lipcu 1917 r.

Z kart tego dziennika wojennego bije prawda wzniosłego bohaterstwa w walkach z wrogiem i niezwykły hart ducha i napięcie ideaowe żołnierza legjonowego. — Z żołnierzem tym stykamy się tu wszędzie — widzimy go w boju, w okopach, na placówkach, wartach, na postoju — wszędzie — i podziwiamy tych żołnierzy jedynej w świecie brygady — która pod względem zapalu, poświęcenia dla idei i miłowania Wodza nie miała sobie równej wśród tylu walczących wówczas armii.

A pozatem książka Lipińskiego ma jeszcze jedną niepospolitą zaletę, — jest to dziennik pisany przez żołnierza. Autor przeszedł służbę w Brygadzie jako prosty szeregowiec, kapral, wreszcie sierżant. — W literaturze wojennej b. wiele mamy pamiętników pisanych przez wodzów, generałów, oficerów. Lecz jakże rzadko spotkać można pamiętnik prostego żołnierza! I słusznie podkreśla Lipiński znaczenie pamiętnika żołnierskiego, „który ułatwić może zgłębienie najbardziej istotnego zjawiska wojny, jakim jest przedewszystkiem dusza żołnierza“.

Dziennik Lipińskiego zawiera nie tylko obraz psychiki żołnierza, lecz i opis tysiąca wydarzeń i przygód składających się na całokształt przeżyć wojennych.

Dlatego też uznać należy, że pamiętnik Lipińskiego stanowi nie tylko pierwszorzędnej wartości dokument historyczny, ale i skarbnicę cennych wskazówek i doświadczeń wojennych dla przyszłych pokoleń żołnierzy. S.

Zofja Kossak. Pożoga. Towarzystwo Wydawnicze „Rój“, Warszawa, 1935; str. 287.

Mimo, że karta tytułowa książki nie nadmienia z niewiadomych powodów) drugiego czy trzeciego wydania, „Pożoga“ nie jest nowością na rynku księgarskim.

Ukazując się przed kilkunastu laty książka była bezporównania aktualniejsza. Bezwątpienia jeszcze i dzisiaj można się zadumać, wzruszyć i zasmucić czytając o połodze rewolucyjnej, obracającej w perzynę polskie dwory szlacheckie na — bolszewickim dziś — Wołyniu. A jednak sam temat oddalił się już od nas na znaczny dystans; poprostu zbyt jaskrawo zbliżyła się do nas paląca rzeczywistość Polski społecznej, przesłaniając nieproduktywny, irracjonalny — przynajmniej w tej chwili — sentymentalizm. Naturalnie, że ci, którzy pozostawili „po tamtej stronie“ nie tylko majątki i dwory, ale i skarb tradycji i przywiązania, ci będą przeżywali te kwestje inaczej, z gorętszym zabarwieniem osobistym. Nas szarych ludzi, nie chowanych po ukraińskich dworach, pociągnie „Pożoga“ jako pierwszorzędny, z realizmem i wiernością kreślony dokument historyczny, socjologiczny i kulturalny.

Zwłaszcza wiele ciekawego materiału możemy zebrać do psychologii chłopca-niewolnika, w którym płomień rewolucji podsyca zastarzałą, głęboko ukrytą nienawiść do „panów“. Dalej historyka ruchów niepodległościowych pociągnie napewno liczne szczegóły o polskich formacjach wojskowych. To są rzeczy dla specjalistów. Każdego natomiast ujmie prostota i szczerść opisywanych przez autorkę przeżyć. Fakty pod jej piórem są żywe, ludzie pulsują krwią i namiętnością. Nikt nie ośmielił się nazwać „Pożogi“ fikcją. To jest fragment okrutnego życia, z bezlitośnie obrażeniami nerwami. Mimo braku wyczelowanej formy ta książka jest najwyższym osiągnięciem artystycznym Kossak-Szczuckiej.

Korekta okropna. Książka drukowana jest petitem, co stanowi ewenement w swej dziedzinie. Dlatego też mogą ją czytać wyłącznie ludzie o oczach orłów lub rysi.

Sm.

Jan Wiktor. — Orka na Ugorze. — Powieść. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa.

Nigdy chyba zainteresowanie wsią nie było w społeczeństwie polskim tak silne, jak obecnie. Zagadka wsi polskiej domaga się wielkim głosem rozwiązania. Czem jest wieś? Czem jest chłop polski? O czem myśli i co czuje? — Od trafnej odpowiedzi na te pytania zależy przecież cały pogląd na naszą dzisiejszą, polską rzeczywistość.

Więś, biedna i nędzna wieś podhalańska jest ośrodkiem nowej powieści Jana Viktora: „Orka na ugorze“ (Książnica-Atlas). W naszej literaturze o wsi powieść ta zajmuje zupełnie specjalne, odrębne stanowisko.

Nic w niej niema z dawnego typu idealizacji wsi polskiej. Chłop Viktora jest żywym człowiekiem z krwi i kości, jego nędza jest prawdziwą, realną nędzą, jego ciężka praca jest twardym codziennym, bezlitosnym znojem nad wszystko utrudzonego człowieka. Powieść jednak Viktora nie ma również nic wspólnego z tak modnym dzisiaj reportażem wiejskim, ślizgającym się chętnie po powierzchni samego zagadnienia, z upodobaniem dostrzegającym jedynie zło i brud w życiu naszego chłopca. Autor „Wierzb nad Sekwaną“ widzi i rozumie nędzę, czuje jej dławiący wszystko ciężar, widzi to straszliwe spustoszenie, jakie czyni ona w duszach ludzkich. Jednocześnie jednak ten subtelny i wnikliwy badacz serc ludzkich, umiejący w każdej grudce brudu dostrzec złoty promień dobroci ludzkiej, nie poddaje się zwątpieniu i pesymizmowi. Z pod ciężkich nawarstwień zła, z ponurych spustoszeń nędzy umie on wykrzesać piękno i dobro duszy ludzkiej. W najnędzniejszej chałupie wiejskiej rozkwita przepiękny kwiat uczuć macierzyńskich, w duszy najbardziej biedniejszej bohaterki powieści Malinowskiej wytryska złoty promień najwyższego miłosierdzia i przebaczenia.

W ciąglem poszukiwaniu prawdziwej, jasnej duszy wsi dzisiejszej, zwraca się Wiktor ku młodszemu pokoleniu wsi. We wsi, którą opisuje, jest szkoła. Świat szkoły i wsi spotyka się w książce Viktora. Na tle z jednej strony przepięknej przyrody podhalańskiej, z drugiej zaś dusznych, zimnych i biednych chat chłopskich toczy się praca szkoły nad przebudową duszy dziecka chłopskiego, walka ciężka, trudna, często beznadziejna, której prawdziwe znaczenie i wartość rozumieją tylko jednostki. W ten sposób ta szkoła, ten jakby niespodziewany skrawek innego, lepszego świata staje się tym idealnym pomostem, który nędzą, zapuszczoną wieś łączy z lepszym jutrem.

Powieść Viktora wyrosła na podłożu wielkiej promiennej miłości do wszystkiego, co piękne i dobre; przepojona umiłowaniem dla przyrody i ludzi, opisywanych w powieści, jest ona w pełnym tego słowa znaczeniu książką dnia dzisiejszego, książką najaktualniejszych problemów współczesnych, przełamanych przez pryzmat kochającego serca autora.

Do obszerniejszego omówienia tej interesującej książki powrócimy jeszcze w numerze następnym.

Julja Dickstein-Wieleżyńska. Przed Jego Wielkim Światłem.. Poezje. Warszawa, Dom Książki Polskiej, 1935; str. 56.

Wieleżyńską znaleźliśmy dotąd raczej nie jako oryginalną poetkę (zresztą mającą poza sobą dwa tomiki nastrojowych liryków), ale jako tłumaczkę poezji włoskiej, z utworami Carducci'ego i Leopardi'ego na czele. Wiedzieliśmy o niej, że należy do nielicznej u nas grupy znawców sztuki włoskiej, pracującej od lat gerąco na polu zbliżenia kulturalnego italo-polskiego. Wśród prac tego rodzaju ginęła Wieleżyńska-poetka, rozsiewająca od kilkunastu lat swe wiersze po licznych czasopiśmiech.

Omawiany tomik poezji związany jest z postacią Wodza. Jego niezwykła osobowość, spowita w tuman legendy, nie mogła nie wywrzeć wpływu na poetkę, wychowaną na potężnej literaturze polskiego romantyzmu. Nie są to wiersze pisane „na obstalunek“, w czasach, gdy Piłsudskim wypełniona już była cała treść polskiej rzeczywistości. Patrzymy na chronologię utworów. Widzimy, że pierwsze wiersze o Wielkim Człowieku powstają już w r. 1918. Świadczy to o ideowym podłożu twórczości Wieleżyńskiej i jej artystycznym wycuciu niezwykłości heroizmu. Cały tom przepelniony jej patosem bohaterstwa. Nuta jego wibruje w każdym lirycznym wyznaniu i dźwięczy spiszowym tonem w eposie dziejów. Forma wielu wierszy jest nieomal klasyczna w swym surowej powadze. Licuje to z tematem, który jest najgłębszym wyznaniem wewnętrznej wiary poetki w opatrność i waleczy echo romantyków z symboliką Młodej Polski. Ton wszystkich wierszy jest szlachetny, głęboki i szczer.

Wśród powodzi rymotwórstwa związanego z osobą Zmarłego tom wierszy Wieleżyńskiej odbija bezwzględnie dodatnio. Nie jest to wielka poezja, ale — poezja dobra. A w literaturze jest potrzebna i taka. Sm.

Józef Piłsudski. — Ułina Mała. — Wyd. Gebethnera i Wolffa. — Warszawa 1935.

Nowy tomik znanej już naszym czytelnikom Biblioteki Młodzieży — „Polska i Świat Współczesny“.

Tym razem nieco historii i to historii żywo nas obchodzącej — fragment z boju legjonowych. Fragment niezmiernie ciekawy i emocjonujący. Marsz z Wolbromia do Krakowa pięciu bataljonów strzelców tuż przed frontem armii rosyjskiej.

Nowy tomik noszący tytuł „Ułina Mała“, a będący częścią „Moich pierwszych boju“ Józefa Piłsudskiego zawiera żywy opis tego marszu, a na jego tle szereg ciekawych uwag, spostrzeżeń i obserwacji.

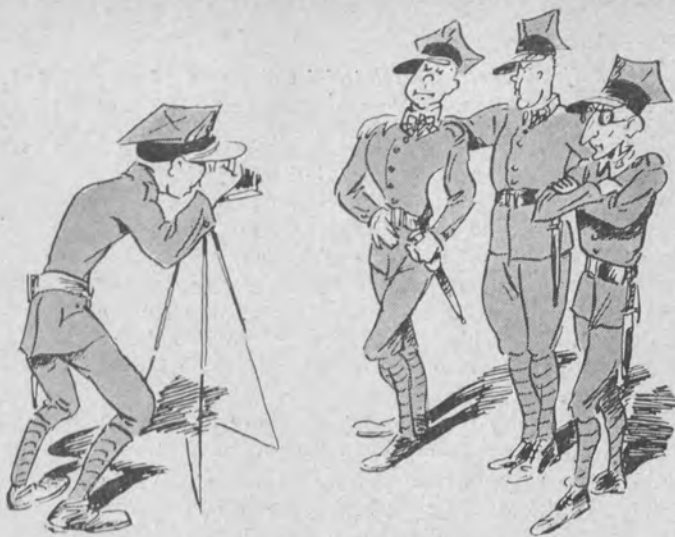
Zarówno sam temat jak i osoba autora, żywość, rozmach i bezpośredniość jaka cechuje prace piśmiennicze Marszałka, czyni to, że „Ułina Mała“ znajdzie się w wielkiej liczbie w rękach młodzieży, jako ciekawa i pożyteczna lektura.

## KOLEDZY!

Pamiętajcie, że

## ROCZNIK „PODCHORAŻEGO“

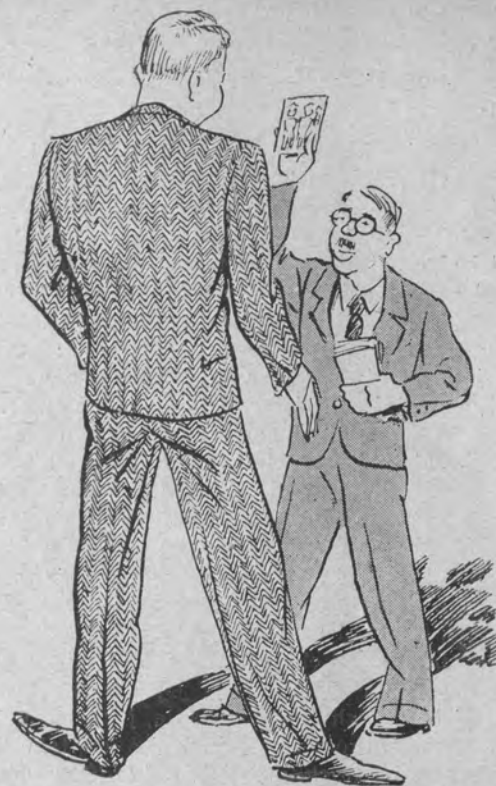
to najmiłsza i trwała pamiątka z okresu służby wojskowej



**AKT I (na polu ćwiczeń)**

Fotograf — „A teraz, kochani koledzy stańcie w wyszukanych pozach, przybierzcie odpowiednio bohaterskie miny i wypnijcie dumnie piersi. Zrobimy bajecznie interesujące i pomysłowe zdjęcie...”

Fotografowani — „Zgoda, świetnie!”



**AKT II (w Redakcji)**

Kierownik artystyczny — „Znow to samo... O ciężki mój los i marny koniec...”  
[znika, by się powiesić].

Red. Naczelny — „Zamówić wieniec z napisem: „padł na posterunku”.

**AKT III  
(w świetlicy)**

Podchorążowie (chórem) — „Co?! Znowu grupa! My już i tak nie od dzisiaj mamy tych bubków w grupie, ale kiedy oni to nareszcie zrozumieją!”



**EPILOG**

Zespół redakcyjny (chórem) — „Kiedy, ach kiedy!...”

Redaktor Naczelny:  
podechor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI  
Zastępca Redaktora: podechor. J. SZPER

Sekretarz Redakcji: podechor. W. BRODZIKOWSKI  
Kierownik artyst.: podechor. A. SIEMASZKO  
Kierownik Administr.: podechor. H. JANCZEWSKI

**Adres Redakcji i Administracji: Warszawa — Smolna 26/28. Konto P. K. O. 26.720  
WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.**

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.  
Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzurem: W. Bieliński, J. Błażejowski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziński, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Łaguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milezarek, M. Mokrski, B. Nuszkowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszkowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajęczkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.